

TYGODNIK ILLUSTROWANY



ORĘDOWNICZKO NASZA...
Salon jesienny T. Z. S. P.

JÓZEF RAPACKI

SZYMON ASKENAZY:

Kościół katolicki a Katarzyna II.

Podział Polski, pojęciowo zamknięty w sobie moment polityczno-dziejowy, przecie rzeczowo, w czynnościach i skutkach podziałowych, dwie zgoła odrębne wystawia strony: sprawę rozbioru terytorium, oraz rozkładu organizmu Rzpltej polskiej. Pierwsza sprawa, rozstrzygnięta przez czyn dokonany samychże państwa polskiego, pozostawiała wszakże widoki doraźnej zrewolucyjnej restytucji w przyszłej sposobnej po temu okoliczności i porze. Druga natomiast, dopiero z chwilą podziałową napoczynana, na dłuższą z konieczności obliczona metę, zmierzając do kolejnego przekształcenia samej wewnętrznej istoty ustroju społeczno-narodowego polskiego, w miarę swoich postępów podcinała widoki ewolucyjnego kiedykolwiek odrodzenia nazewnątrz, zamykała nieodwołalnie, grzebała przyszłość. Ta wtóra operacja pochodna, będąc tamtej pierwotnej i przyczynowej wynikiem jeno i rozwinięciem, mniej napozór od niej pokaźna i uderzająca, bo nie z wierzchu ani raptem, lecz w rdzeniu i stopniowo dokonywana, właśnie jednak dlatego głębsze jeszcze poniekąd od tamtej i nierównie donioślejsze posiadała znaczenie.

Nauka historyczna, a wraz i świadomość publiczna polska z obu rzeczonych procesów dziejowych zaledwo pierwszy zewnętrzny lepiej i jaśniej rozeznawać, trzeźwiej i bardziej przedmiotowo zdawać sobie z niego sprawę zaczyna. Jak w rzeczywistości, nie wedle takiej lub innej, ułożonej *ex post* tezy historycznej, lecz realnym trybem społecznych wydarzeń doszło do podziałów Polski; jak dalece górujące w tem zjawisku fatalne czynniki międzynarodowe splatały się z oplakanyimi społecznymi domowymi i przez nie warunkowane były; w jakim stosunku rozłożyć należy płynące z jednych, a drugich przesłanki musu a winy i, co za tem idzie, w jakim postawić wnioski poczytalności swojej, a obcej; jakimi sposobami dzieło podziałowe, dyplomatycznie, politycznie i demarkacyjnie poczęte, prowadzone i uskutecznione zostało to są wszystko przedmioty znaczne, zawiłe i trudne, do których ledwo przystępuje obecnie na własną rękę samodzielne badanie polskie i z którymi spełna uporać się niełatwa będzie dlań rzeczą. Ale gorzej jeszcze ma się z owym drugim procesem wewnętrznym, o jakim mowa. Bo proces arcyważny, otwierający się na pierwszym podziale, a odtąd, od półtora blisko wieku coraz szersze i głębsze zataczający kręgi, odrabiający, przez przeciąg tego półtorastaletniego nieprzerwanego swego trwania, we wręcz przeciwnym kierunku, całą uprzednią odwieczną robotę ustrojową polską, nie zamknięty wistocie aż do dziś dnia, sprawił albo gotuje nie proste już tylko gwałtowne oderwanie samych zabranych przez rozbiory dzielnic państwowo-terytorjalnych, lecz zupełną, ze szczeniem i na zawsze, niepowetowaną zaturę wrośniętą w nich starodawnie, a teraz usuwaną bezwzględnie albo przynajmniej podważaną i osłabianą podwaliny zasiedzenia się, zagospodarowywania i posiadania społeczno-narodowego, w pierwszym rządzie na najmniej odpornych kresach, w Kraju Północnym i Południowo-Zachodnim, Prusach Zachodnich, Galicyi Wschodniej, po-

niekąd zaś z koleją, w miarę możliwości, również i w rdzennych ośrodkach b. Rzpltej. Ze stanowiska racji stanu mocarstw podziałowych była to dla nich niewątpliwie sprawa wagi kardynalnej, była właściwą dopiero treścią i sankcją bezpośrednią faktu podziałowego. Została też przez nie podjęta natychmiast po załatwieniu się ze stroną techniczną podziałów i prowadzona odtąd niezmordowanie, z konsekwencyą żelazną, a w znaczeniu i sposobie jak najwszechstronniejszą. Ta akcja, od razu jaśniej ustalona w swych liniach wytycznych, a krok za krokiem urzeczywistniana w systematycznym zastosowaniu praktycznym, ogarnęła odtąd, w rzeczy samej, jak najwszechstronniej wszelkie bez wyjątku główne dziedziny życia społeczno-narodowego w dzielnicach rozbiorowych wogóle, a pierwszorozbiorowych, bo kresowych, w szczególności, czy to w zakresie materalnym, czy moralnym, gospodarczym i prawnym, administracyjnym i stanowym, wychowawczym i kościelnym, w jednakowym naogół duchu i sensie, choć w rozmaitym stopniu i tempie, stosownie do rozmaitych okoliczności i warunków w każdej poszczególnej dziedzinie i dzielnicy.

Owóż cała ta następcza, przychodząca już po fakcie mechanicznego wcielenia podziałowego, rozległa i wnikliwa czynność organicznego wchłaniania podziałowego, jakkolwiek skroś jednolita w celowym swoim rozmachu i napięciu, różniczkowała się przedmiotowo i czasowo na mniej widoczne, nieraz prawie niedostrzegalne, bo rozrzucone i ciągłe, a tem skuteczniejsze składniki: i dlatego też pozostała jak najmniej znaną. Wiemy zaledwo, jak Polskę podzielono między trzy mocarstwa ościenne, ale jak ją z niemi jęto spajać, jednaczyć, utożsamiać, o tem, z wyjątkiem dorywczych jeno gdzieniegdzie wiadomości, żadnego naprawdę w całości konkretnego, porządnego, ścisłego nie mamy pojęcia.

Wytworzenie sobie takiego pojęcia na dokładnej podstawie źródłowej jest bez wątpienia potrzebą pod każdym względem, naukowym zarówno, jak publicznym, wręcz nieodbitą. Punkt wyjścia stanowić przytem winien oczywiście sam początek onego procesu, przypadający zaraz po pierwszym podziale i będący tu momentem genetycznym wszystkiej podejmowanej następnie w tym samym kierunku roboty. O ile zaś nadto chodzi w szczególności o pierwotną dzielnicę polsko-rosyjską, te znowuż z rozlicznych dziedzin, na jakie rozciągała się ta robota, miejsce najwybitniejsze należy się dziedzinie kościelnej.

Wistocie, nazajutrz po dopełnionym rozbiorze, a z chwilą przystąpienia każdego z trzech państw rozbiorowych do owej operacji wchłaniającej względem odpowiednich swoich nabytków, w odmiennym zgoła położeniu znalazła się Rosya, aniżeli Prusy i Austria. Te dwa ostatnie mocarstwa, rozrządzając wyższą kulturą prawnopństwową i udoskonalonym aparatem administracyjnym, mogły natychmiast i bezpośrednio zużytkować tę swoją przewagę na wziętej ziemi polskiej w stosownych dziedzinach zarządu, sądownictwa, gospodarstwa i wychowania publicznego, a jakkolwiek nie zaniebrywały również i kościelnej, to raczej w dopełniającym do tamtych sposobie. Przeciwnie, Rosya ówczesna, samą siłą fizyczną przodując w dziele rozbiorem, biorąc górę i nad dzieloną Rzpltą, i nad dwiema potęgami spółdzielczymi, lecz niższą i od tamtej, i od tych obu pod względem swego niedorozwinięcia kulturalnego, prawnopolitycznego i administracyjnego, nie mogła zrazu nadażyć na tej

samej drodze i musiała, wprost naodwrot, nie zaniebując zresztą i owych innych dziedzin, na których ześrodkowały się głównie asymilacyjne wysiłki pruskie i austriackie, punkt ciężkości analogicznych usiłowań własnych obrócić na kościelną.

Za takim mianowicie specyficznym obrotem dążeń jednoczących Rosyi w obrębie pierwszego już jej działu polskiego przemawiała jedna nadmiar okoliczność kapitalna, stanowiąca sama przez się więcej, niż kompensatę przewag Prus i Austrii pod względem wyższej dojrzałości i sprawności państwowo-administracyjnej, t. j. szczególnie pomyslnie dla tych dążeń ustosunkowanie wyznaniowe ludności na zabranych przez Rosyę ziemiach Rzpltej. Było tu, w granicach porozbiorowej dzielnicy rosyjskiej, około 100,000 łacinników, 800,000 unitów i 300,000 prawosławnych. Z samego już takiego stosunku ilościowego wynikało dla ówczesnego rządu rosyjskiego proste i dobitne wskazanie jego polityki kościelnej na tych ziemiach. Wprawdzie do kościoła katolickiego należała tym sposobem właściwie znakomita większość przyłączonej ludności, do 900,000 dusz, ale istotna niewzruszona w tem zawartość mieściła się naprawdę głównie w liczbie owych stukroć katolików obrządku łacińskiego, kiedy natomiast ośmkroć katolików obrządku greckiego stanowiło żywo nie ustawkowany religijnie, a tem bardziej narodowościowo, i pod obydwoma względami w wysokim stopniu podatny dla wpływów konwersyjnych, pociągany tedy zdawna ciśnieniem pokrewnej sobie z krwi, stanu i ducha masy trzechkroć prawosławnych, a odcięty teraz od oddziaływania katolickiej Rzpltej i poddany bezpośrednio oddziaływaniu olbrzymiego imperium prawosławnego i potężnej władzy rządowej rosyjskiej. Na tem też odtąd polegało tutaj sedno rzeczy: na takiej orientacji kościelnopolitycznej rządu i takiej z jego ramienia organizacji Kościoła katolickiego w dzielnicy rozbiorowej rosyjskiej, aby, przecinając nazewnątrz węzły, łączące go z Rzpltą i rozluźniając łączące go z Rzymem, spowodować wewnątrz osłabienie i zanik węzłów, łączących obadwa obrządki łaciński i grecki w łonie samego Kościoła polskiego i tym sposobem przygotować co rychlejsze zupełne oderwanie unii od katolicyzmu i polskości oraz pozyskanie jej dla cerkwi i państwowości rosyjskiej.

Pod znakiem powyższej idei przewodniej począł się i ukształtował stosunek Kościoła do ówczesnej monarchii rosyjskiej we wstępnym zaraz, a decydującym dla dalszej przyszłości okresie od pierwszego podziału Polski aż do utworzenia pierwszej metropolii katolickiej pod berłem rosyjskiem. Zbadaniem doniosłego tego przedmiotu zajął się młody historyk, który niepoślednie swoje uzdolnienie badawcze poświęcił z zupełnym oddaniem się studjom specjalnym nad nowoczesnymi dziejami Kościoła w Polsce, dr. Maciej Loret, w gruntownej i nauczającej pracy „Kościół katolicki a Katarzyna II, 1772–1784”. Miał tu autor do pokonania zadanie żmudne i drażliwe. Żmudne—gdyż, nie mając żadnych właściwie, w znaczeniu ściśle naukowym, poprzedników na tem niemal zgoła nie tkniętym polu badania, wszędzie prawie musiał sięgać wprost do źródeł archiwalnych, których wydobyć, a nawet sama przystępność była połączona z pewnemi utrudnieniami natury technicznej. Drażliwe—gdyż przedmiot, sam przez się bardzo poważny, nastęrczał nadmiar co kroku szczegółów nad wyraz smutne i oplakane pod kątem widzenia najprostszych, najprawowitszych postu-

latów moralno-dziejowych ze stanowiska tyleż interesu Kościoła, co i Polski.

Wynikało to poniekąd z samej natury rzeczy, wynikało między innymi z fatalnego zbiegu okoliczności, iż okres pierwszego podziału Polski był zarazem epoką jednego z najostrzejszych przesileni, przez jakie wtedy przechodził Kościół powszechny. Jeden z wydatnych momentów tego przesilenia, kasata zakonu oo. Jezuitów, miał też w kierunku nader niepomyślnym odbić się na przebiegu niniejszego wstępnego stadium sprawy kościelno-politycznej w Rosji za Katarzyny II. Autor pracy niniejszej, sposobem ściśle przedmiotowym poruszając dotkliwe te komplikacje podczas doby, najmniej przezroczystej w wielostronnych dziejach Towarzystwa Jezusowego, bo doby, obejmującej okres jego istności i działania, wręcz zaprzeczony przez najwyższą w Kościele władzę, ograniczył się do czysto rzeczowego stwierdzenia tego stosunku faktycznego i płynących stąd niepożądanych konsekwencji dla ówczesnej niezdrowej postawy Towarzystwa względem Stolicy Apostolskiej i spraw polsko-rosyjskich. Podobnie, bez żadnych z góry powziętych uprzedzeń, ale też nigdzie pod korcem przykrej nie chowając prawdy, tej najlepszej win i błędów lekarki, nakreślił haniebne albo marne rysy takich, jak metropolita Siostrzeńcewicz, znikczemniałych i występnych, albo też tylko nie dorastających wysokości swego powołania i ciężkiej tamtoczesnej Kościoła i kraju potrzeby, grzeszących słabością lub obojętnością, dostojników duchownych. Z tem większym natomiast zamiłowaniem zatrzymał się nad wizerunkiem takiej, jak metropolita Smogorzewski, czystej

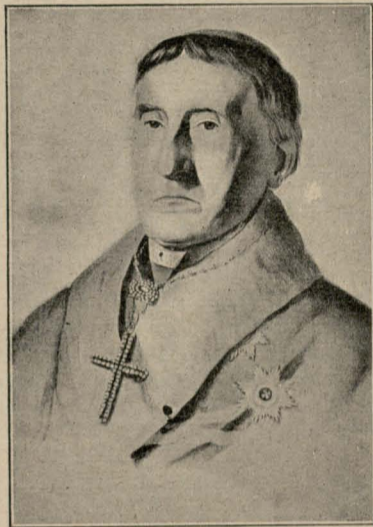


Jerzy Konisski, biskup mohylowski dyzunicki (1761—1795).

i pięknej postaci, wiernego syna Kościoła i Rzpltej. Razem dał pracę spokojną i staranną, która, utrafiając w nagłą na tem właśnie polu potrzebę naukową, podobnie jak to czyni w całym równoległym zakresie dla dzielnic rozbiorowej państwa austriackiej no-

we szacowne dzieło ks. Chotkowskiego o „Historii politycznej Kościoła w Galicyi, 1772—1780”, stanowić będzie mocny punkt oparcia dla dalszych poszukiwań nad dziejami kościelno-politycznymi ziem polskich pod berłem rosyjskiem. Rzecz prosta, młody autor, zmuszony przezwyciężać po raz pierwszy dopiero torować ścieżki naukowemu badaniu, nie miał sposobu wyczerpać wszystkich następczących się po drodze, spraw i zagadnień i wiele z nich, niektóre nawet bardzo wydatne, musiał pozostawić na uboczu. Do takich przedmiotów poszczególnych, które domagałyby się całkiem odrębnego roztrząsania monograficznego, między innymi należą niezawodnie rzeczy bazylikańskie w kordonie rozbiorowym rosyjskim. Dzieje nowoczesne zakonu św. Bazylego W., wysoce interesujące w opłakanych, tragicznych niekiedy, a tak ciemnych, ukrytych, mało lub źle wiadomych istotnych perypetiach swoich, stykających się w pewnych punktach kapitalnych z subtelną działalnością oo. Jezuitów, te

dzieje stopniowej, przymusowej, nieuchronnej dekadencji zakonu, to są naprawdę dzieje upadku unii. Był też pierwszy zaraz podział Polski widomym znakiem bazylikańskiej zaguby, tam mianowicie, gdzie wtedy nasamprzód pod obce panowanie odeszły klasztory, t. j. w Galicyi i na Białej Rusi. Wiadomo, że wnet wszystkie główne i zasobniejsze z tych klasztorów galicyjskich od rządu austriackiego na skarb zabrano, że nawet starożytną cerkiew Śtojurską we Lwowie z całym placem klasztornym oddano fałszywemu opiekunowi, a zawziętemu w istocie prześladowcy zakonu, „za-



Stanisław Bohusz-Siostrzeńcewicz, arcybiskup mohylowski katolicki (1731—1826).

wsze — jak w leżącej przed nami, a pochodzącej z powierzonych nam cennych papierów bazylikańskich, poufnej kronice klęsk zakonnych, cichej skardecie, spiswanej dla potomnych w sekrecie mniszej celi z gorzkim wyrzute m staro, spółczesny żalił się superior—przeciw Bazylianom godzącemu”, biskupowi lwowskiemu, późniejszemu metropolicie Leonowi Szeptyckiemu, dzięki usilnym jego tajnym w Wiedniu staraniom, a możliwym i szkodliwym tam protekcjom. Ale gorzej jeszcze dzieć się miało zakonowi na Białorusi, gdzie los jego nierozłącznie był związany z ułożoną już z góry sprawą podważenia i zniesienia unii. Wprawdzie odeszły do Rosji klasztory bazylikańskie narazie zostawiono pod zarządem prowincyała litewskiego, a naczelnem władaniem protoarchimandryty—generała zakonu. Ale wnet ciężkie zaczęły się kłopoty i uciśnienia, zwłaszcza od kąd zacny Smogorzewski, w 1779 roku po zmarłym Szeptyckim obejmując metropolię ruską, odjechał arcybiskupstwo połockie, i gdy po nim rządy duchowne na Białorusi oddała Katarzyna w uległe ręce Lissowskiego. Napróżno kapituła generalna, odprawiona w Torokanach w 1780 r. pod osobistą prezydencją Smogorzewskiego, a przy udziale wszystkich zebranych superiorów zagranicznych wokalnych, na długich, dwumiesięcznych obradach podjęła usiłowania ratunkowe, poprawiła i zatwierdziła kodeks konstytucji bazylikańskich, obrała protoarchimandrytę, dzielniczego Józefa Morgulca, zaprowadziła nowy podział prowincjonalny, z nową, osobną prowincją białoruską. Nie mogło to powstrzymać ciosu, jaki niebawem w zakon uderzył, kiedy ukazem Katarzyny ze stycznia 1785 r. — „czyli z samego tylko, jak pisze kronikarz bazylikański, krajowego rządu woli, czyli też z intryg tamecznych naszych mnichów, co pewnością — po raz pierwszy od istnienia zakonu bazylianie białoruscy, wyłączeni od władzy generalskiej protoarchimandryty i poddani zwyczajnej władzy dyecezyjalnej miejscowej, a tem samem prowincya białoruska od ciała zakonu oderwana. Okazały się tego skutki na następnej kapitule generalnej w Żydyczynie 1788 r., już za śmiertelnej Smogorzewskiego choroby, gdzie nie stawił się pod surowym Katarzyny

zakazem żaden przedstawiciel zakonu z Białorusi, a gdzie natomiast z natchnienia Lissowskiego, na obrady kapitulne wyniesiona została „kwestya” znamienna, iż „byłoby zgodniej dla unickiego wyznania na Białej Rusi z wyznaniem religii, tam panującej, aby skasować święta *Corporis Christi* i św. Józefata”. Wprawdzie zaraz jednomyślnie orzekła kapituła, że „o tem rezonować nie jest jej przedmiotem, a gdyby tak stało się, byłoby wprost z wielkim przesądem dla unickiego wyznania”, i nawet nie dopuściła wpisania tego wniosku do akt kapitulnych, bądź co bądź jednak, była to już zapowiedź wyraźna tych następstw klęskowych, jakie najbliższa gotowała przyszłość. Niepodobna, niestety, na tem miejscu wdawać się w szczegółowe wyłuszczenie tej tak doniosłej i zajmującej materii bazylikańskiej, która, jak się rzekło, zasługiwałaby ze wszech miar na opracowanie samoistne i, jak tuszyć należy, niedługo na nie czekać powinna.

Autor omawianej monografii, dr. Loret, nie mogąc zbaczać ku podobnym, ważnym niezawodnie, lecz raczej specjalnym materiom, mając sobie wyznaczony cel zarazem powszechniejszy rzeczowo, a chronologicznie ściślejszy, t. j. nakreślenie dróg wytycznych polityki kościelnej Katarzyny II i stosunku do niej Stolicy Apostolskiej między pierwszym rozbiorem Rzpltej a założeniem archidiecezyi mohylowskiej, oparł się w swoich poszukiwaniach, obok zbiorów krajowych, przeważnie na najgłośniejszych, nader obfitych w tej mierze źródłach archiwalnych watykańskich. Szczera wdzięczność i zupełne uznanie należy się temu życzliwemu i światłemu poparciu, z jakim podczas poszukiwań swoich spotykał się zawsze autor ze strony Zarządu Archiwum Watykańskiego. Ze szczególnym w tym względzie hołdem godzi się podnieść pamięć przedwcześnie zmarłego s. p. mgra o. Wenzla, który nie zró w n a n e m swem doświadczeniem i niezamordowaną uczynnością stale z

najskuteczniejszą pomocą. A skoro już o wdzięczności naukowej mowa, niechaj wolno będzie narzeczcie kreślącemu te słowa, zarówno imieniem własnym, jako nauczyciela i pisarza, jakoteż imieniem wszystkich swych uczniów i młodych przyjaciół, a w ich liczbie i autora omawianej książki, dać tutaj wyraz tej serdecznej wdzięczności, jaka należy się od nas wszystkich przeznaczonemu dyrektorowi Biblioteki uniwersyteckiej we Lwowie, dr. Aleksandrowi Semkowiczowi, bez którego troskliwej i rozumnej opieki, a dodaćby też potrzeba, niewyczerpanej wyrozumiałości i cierpliwości wobec kierowanych do niego niezliczonych dezyderatów, nie byłaby wprost możliwa inicjowana tam praca indywidualna i zbiorowa w zakresie badań monograficznych nad dziejami nowożytnymi Polski.



Jazon Junosza Smogorzewski, metropolita grecko-unicki (1714—1788).

Zbiory Leona hr. Pinińskiego.

Nazwisko Pinińskiego znane jest szeroko w Polsce, przynajmniej w Galicyi: były namiestnik, wybitny polityk, wykwintny znawca sztuki, autor kilku cennych książek z tej dziedziny, wreszcie człowiek niezmiernie szlachetny, przystępny, postać doprawdy jedna z najsympatyczniejszych, uczynnych i niezwykle kulturalnych; prócz tego zbieracz dzieł sztuki, szcycący się słusznie całym szeregiem przepysznych płócien, które byłyby ozdobą najlepszej „galeryi”.

Dlatego też, kiedy rozeszła się wieść, że Piniński ofiarował znaczną ilość swoich obrazów projektowanemu muzeum na Wawelu, fakt ten, dość rzadki, a tak piękny, żywo wszystkich poruszył.

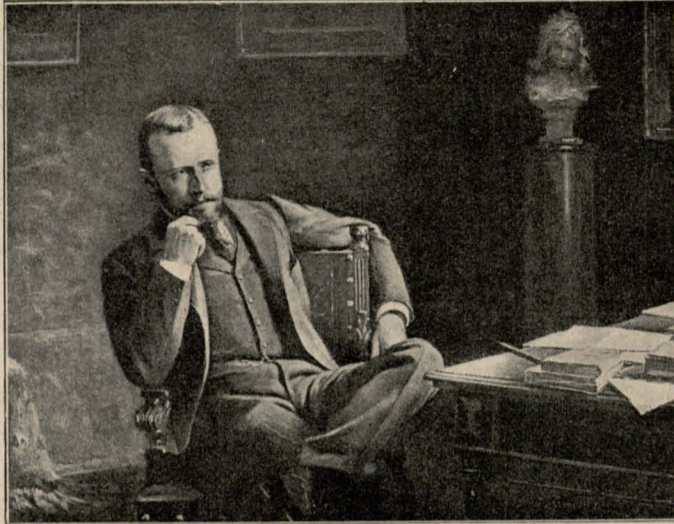
Kto wie, ile nieraz jeden taki obraz kosztuje, jak zbieracz przywiązuje się do niego, jak go troskliwie przechowuje, ukrywa i niechętnie bodaj na kilka dni się go wyzbywa, jak, „rozstając się na czas jakiś z drogimi swoimi skarbami — jak to sam na wystawie starych mistrzów zaznaczył — drży o ich los”, ten zrozumie, że czcigodnemu ofiarodawcy należy się wdzięczność głęboka i podziw.

Chcąc więc dać pobieżne bodaj pojęcie o zbiorach autora „Wędrowki po muzeach madryckich”, udałem się na zlecenie redakcyi do jego pałacyku. Piniński, znany ze swojej uprzejmości, pozwala zwiedzić sale, które już raz miałem sposobność widzieć, godzi się nawet, po chwilowem wahanii, na odfotografowanie kilku ścian i pojedynczych obrazów.

Z przepięknej klatki schodowej, w której mieszczą się stare rzeźby, broń, fragmenty ołtarzy, świeczniki i t. d., wychodzę na piętro do pierwszej salki, mieszczącej płótna mistrzów holenderskich; na ścianach, sztalugach i ekranach mnóstwo większych i mniejszych obrazów; a więc piękne wnętrza lasów czarodzieja pejzażu XVII wieku, Ruijsdaela, niezrównany obraz wojskowego rodzajowego ówczesnego malarstwa holenderskiego, Piotra Coddego, świetne, jedne z najlepszych rzeczy Steena, N. Maesa, D. Halsa, Netschera, van der Neera, van Goyena, Judyty Leystar, van Ostade'a i wiele innych; prócz nich obrazy i innych szkół, miniatury, rzeźby i t. d. Wszyst-

ko to rozmieszczone ze smakiem, pięknie, nie stłoczone „po galeryjnemu”, zawieszono widocznie ręką artysty i smakosza.

Obok wielki salon z obrazami włoskimi. Przedewszystkiem portret młodego kardynała, świetny, dający prawo do domysłu, że to malował, kto wie, czy nie sam Raffael! Portret przedstawia kardynała Juliusza Medici (późniejszego Klemensa VII) w jego latach mło-



Portret Leona hr. Pinińskiego, malował Z. Ajdukiewicz.

dych; jest rzeczą pewną, że Raffael malował istotnie papieża Klemensa, jako młodego kardynała, i właśnie innego portretu jego nie mamy z tych czasów, prócz tego, który znajduje się w zbiorach Pinińskiego.

Naprzeciw Raffaella mistrz jego, Pietro Perugino. Chrystus ukrzyżowany z tym charakterystycznym u Perugina wyrazem słodyczy, bez cienia bólu i męki; po bokach ciekawy symbol dwóch łożów: dwa drzewa, jedno uschnięte, bezlistne, drugie w świeżej zieloności. Prócz tych dwóch najciekawszych, widzimy tu całe mnóstwo znakomitych płócien: a więc kilka doskonałych obrazów ze szkoły Botticellego, z których „Zwiastowanie”, kto wie, czy nie jest oryginałem, lub też rzeczą, robioną przez najlepszego jego ucznia, kilka obrazów Lucci Signorelli, Mainardi'ego, Basaitiego, lub też może Belliniego, portret mnicha, prawdopodobnie z roku 1500, roboty weneckiej, ciekawa niezmiernie i dobrze utrzymana Madonna, robiona może przez któregoś z uczniów Raffaella, i całe jeszcze mnóstwo

innych znanych i nieznanymi mistrzów. W tej samej sali wisi wspaniała w swym rodzaju obraz Mik. Berchemy z r. 1650, przedstawiający alegorycznie pokój westfalski. Berthem zajmował się tylko krajobrazem i zwierzętami, ten obraz więc jest pięknym zjawiskiem w jego twórczości i ważną kartą, jak twierdzi prof. Mysiński, w dziejach sztuki holenderskiej.

Następny salonik, pracownia Pinińskiego, to mistrze współcześni, przeważnie, obok zagranicznych, Malczewski, Fałat i inni.

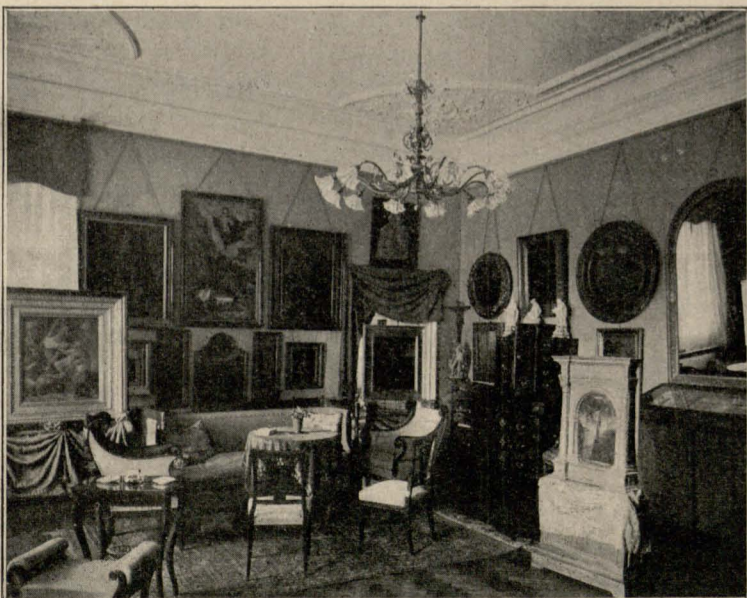
Na parterze mieszczą się obrazy szkół angielskich, między nimi rzeczy pierwszorzędnej wartości, prócz tego mnóstwo rysunków Grottgera, obrazy Michałowskiego (znakomity szkic portretowy Dwernickiego na koniu), obok znowu wielka sala z dziełami artystów współczesnych polskich; niema wybitniejszego malarza, któryby nie był tu reprezentowany kilkoma nieraz najlepszymi płótnami; a więc Fałat, Malczewski, Ajdukiewicz, Aksentowicz, Stanisławski, Dębicki, Chełmoński i cała falanga innych, wraz z „najmłodszymi”, którymi interesuje się żywo Piniński...

W każdej z sal znajdują się rzeźby, szczególnie niemieckie, gotyk i barok, w drzewie, marmurze i kości słoniowej; wśród nich bardzo ładny sycylijski święty Antoni, przywieziony z Sycylii.

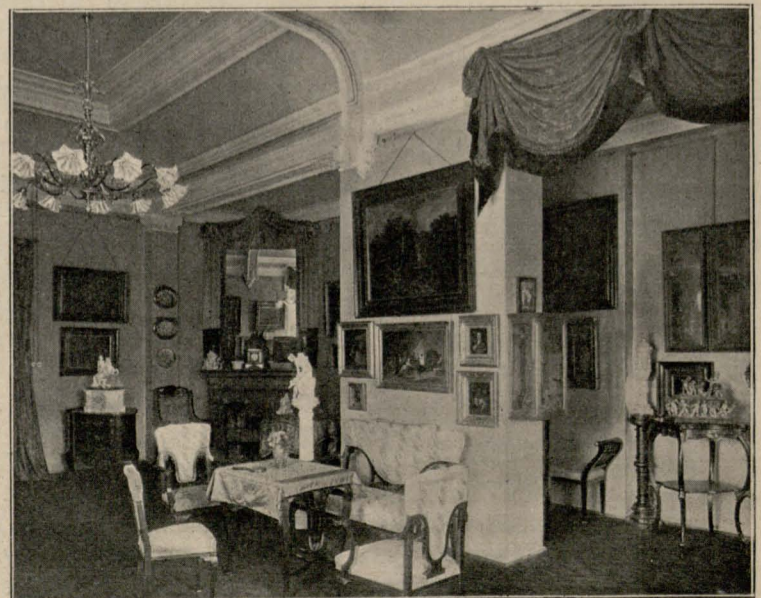
Na stylowych stołach i stolikach leżą foliały książek, zbiory rycin, szczególnie angielskich, i imponująca liczba rycin Rembrandta; w gablotach stare książki, modlitewniki i mszały.

Mnóstwa naturalnie rzeczy cennych nie wspominam, gdyż w krótkim, dorywczym sprawozdaniu dziennikarskiem nie miejsce na to; chcemy tylko dać pobieżny rys tych skarbów, z pośród których wiele przeznaczonych jest na Wawel, nie wszystkie jednak (rzecz zrozumiała!), jak mylnie podały niektóre dzienniki. Prócz obrazów ofiarował Piniński kilka rzeźb i ciekawy stary ołtarz, w Gdańsku kupiony, specjalnie na Wawel.

A.



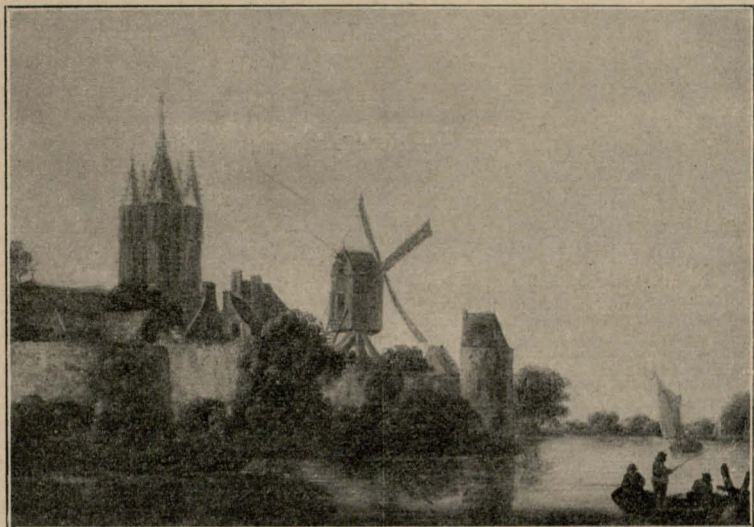
SALON SZTUKI WŁOSKIEJ.



ZBIORY LEONA HR. PINIŃSKIEGO WE LWOWIE.

SALON SZTUKI HOLENDERSKIEJ.

ZBIORY LEONA HR. PINIŃSKIEGO WE LWOWIE.



KRAJOBRAZ



KRAJOBRAZ ZIMY

A. van NEER.

BOLESŁAW PRUS:

Nasze obecne położenie

KRONIKA TYGODNIOWA.

IX.

Obok Natury i Kapitału trzecim wielkim czynnikiem wytwórczości jest —Praca fizyczna. Ona to z głębi ziemi wykopuje i wyrąbuje, z trudem i niebezpieczeństwem, rudy metalowe i węgiel; ona orze i bronuje powierzchnię ziemi, obsiewa ją rozmaitymi gatunkami zbóż, kosi i wymłóca ziarno; ona wypala cegłę, ścina drzewo, strzyże wełnę zwierzęcą, a z odpowiednich roślin wydobywa włókna tkalne. Ona przenosi materiały surowe do fabryk, gdzie znowu praca fizyczna dzieli je na części, miesza z innymi materiałami, poddaje działaniu wysokich temperatur albo silnych prądów elektrycznych, nadaje kształty rozmaitym częściom, wygładza, dopasowuje, a nareszcie łączy je w całości, niby organiczne, niekiedy bardzo skomplikowane i ogromne. Na dowód proszę przypomnieć sobie wielkie mosty, konstruowane z belek żelaznych, albo samochody, z których każdy (jak mi mówiono) składa się z trzech około tysięcy części i cząsteczek!...

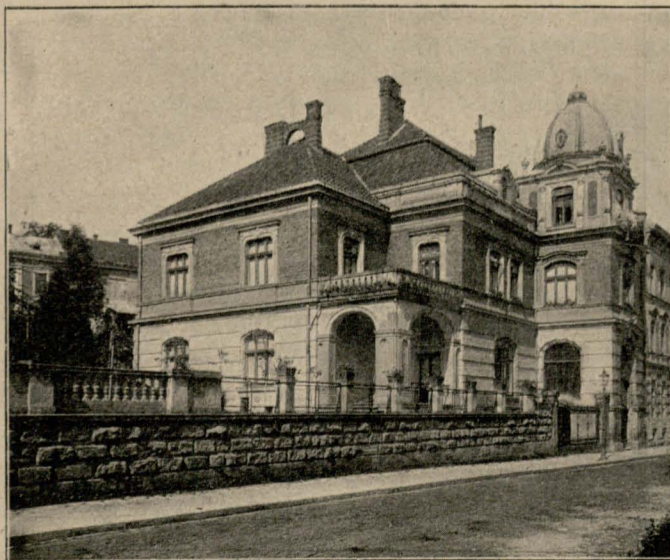
Każda potrzeba ludzka, nawet najbardziej idealna, może być zaspokojona tylko za pośrednictwem materialnych przedmiotów lub zjawisk. Wspaniałe pomysły Dantego i Szekspira zginęłyby dla ludzkości, gdyby nie uwieziono ich w materialną postać książki. Toż samo stałoby się z najpiękniejszymi natchnieniami Beethovena i Chopina, gdy nie było nut, fortepianów i orkiestr. I wogóle, ażeby człowiek mógł istnieć, być bezpiecznym i zdrowym, ażeby jego duch mógł rozwijać się i porozumiewać z innymi duchami, potrzebuje koniecznie, ale to koniecznie jakichś przedmiotów materialnych, stworzonych przez geniusz wynalazczy, a wyrobionych—przez pracę.

Widzimy z tego, jak niezbędną dla człowieka i cywilizacji jest praca fizyczna



GLORYFIKACJA POKOJU WESTFALSKIEGO

MIKOŁAJ BORCHEM



Pałac Leona hr. Pinińskiego we Lwowie.

i jak ją szanować, jak czcić należy. Nie darmo też Stary Testament pierwszym w naturze pracownikiem, pierwszym robotnikiem mianował samego Boga. I to robotnikiem, który nie tylko poddał krytyce rezultaty swojej działalności, ale jeszcze — siódmego dnia odpoczął! Jakim więc sposobem płodną i czcigodną pracę fizyczną przerobiono na karę i przekleństwo, w imię czego pewne grupy półgłówek dzisiejszych lekceważą ją sobie?... jest to kwestya dla mnie przynajmniej niezrozumiała. Zapewne—praca przymusowa zasługuje na nazwę nieszczęścia, jak każda forma niewoli; ale praca obowiązkowa, która człowiekowi zapewnia utrzymanie, jest nie tylko warunkiem życia, ale także zdrowia i duchowego rozwoju. W człowieku, skazanym na próżniactwo, nie tylko zanikają mięśnie, lecz i sam duch przygasa.

Słowem, praca fizyczna jest jednym z najszlachetniejszych i najświętszych przywilejów człowieka, a bynajmniej nie tą męką i przekleństwem, z pod którego należałoby się wyswobadzać. Wielcy dorobkiewiczzy amerykańscy, z których niejedni za młodu pracowali młotem lub kilofem, żyją długo, są silni i energiczni; ich zaś potomkowie, o ile wstydzą się pracy i spędzają czas na denerwujących rozrywkach, bywają zdechłakami, a bardzo często i ludźmi słabego umysłu.

Otóż—rzecz szczególna, że w naszym narodzie, a raczej jego nieco zasobniejszych i niby to — inteligentnych klasach, istnieje wstręt i pogarda do pracy fizycznej. Już nie tylko dzieci „szlachetkie”, ale nawet synowie kupców, przemysłowców, lekarzy i adwokatów wolą kołatać o marne posady biurowe, aniżeli brać się do samodzielnych zajęć rzemieślniczych i handlowych... Kowalstwo, stolarstwo, szewstwo, krawiectwo to nie dla nich! Oni wolą starać się o protekcję i skazywać się na dożywotnią zależność, aniżeli zawdzięczać byt własnej energii, rozumowi i—rękom...

Z objawami lekceważenia pracy spotykamy się nie tylko w górnych warstwach społeczeństwa, ale i w jego fundamentach

ZBIORY LEONA Hr. PINIŃSKIEGO WE LWOWIE.



SCENA BETLEEMSKA

J STEEN



SCENA RODZAJOWA

JUDITH LEYSTER



NOWONABYTY OBRAZ NIEZNANEGO MISTRZA.

i majstrowie cudzoziemcy, motory, maszyny i materiały surowe obce, agenci handlowi także obcy, a miejsce zbytu towarów jest o paręset mil oddalone od fabryki. O wynalazkach i ulepszeniach nie wspominał. Więc cóż w tej fabryce jest naszego?... Ziemia, woda, powietrze i główny zastęp robotników, nieswietnie płatnych, ciemnych, niedbałych, lekceważonych, przy których w dodatku, gdy opuszczają fabrykę, trzeba dokonywać rewizji osobistej, z powodu kilku złodziei, których ogół nie ma chęci czy odwagi zdemaskować.

Nasza praca fizyczna nie zaspokaja potrzeb miejscowych, na co mamy tak grube dowody, jak niedostatek: mieszkań, obuwia, odzieży i bielizny, a nareszcie mnóstwo motorów, maszyn, narzędzi i naczyń, sprowadzanych z zagranicy.

Począwszy od okresu historii powstaniowej, okresu, zwanego: „pozytywizmem” czy też „pracą organiczną”, zdawało się, że wytwórczość nasza rośnie i rozwija się, że ludzie nie tylko nabierają chęci do pracy, ale nawet i umiejętności pracowania. Mniemaniu temu silny cios zadała epoka tak zwanej „rewolucji”, dziwnego zjawiska, w którym aspiracje polityczne przerodziły się naprzód w nienawiść i walkę międzyklasową, a następnie w bandytyzm i programowe próżniactwo. Dzięki strajkom, kierowanym najczęściej niewiadomo przez kogo, sławne niegdyś szewstwo warszawskie podobno upadło, mularze zupełnie zubożeli, a rozmaici biedniejsi pracownicy, skutkiem braku mieszkań, już nie tylko nie posiadają własnej izby, nie tylko własnego kąta w cudzej izbie, ale nawet muszą dobijać się o miejsce na kawałku cudzego łóżka!

Owe strajki, które z początku zapowiadały się, jako ruch bardzo szlachetny, filantropijny i reformatorski, stały się w rezultacie narodowym nieszczęściem, tak głęboko sięgającym, że dziś naprawdę warto by zapytać: kto je urządzał?... Bo—w jakim celu robiono je? o tem już wiemy: w celu ekonomicznego zrujnowania kraju. Ale też i możliwość podobnego zjawiska znalazła u nas warunki właśnie we wskazanym braku jedności, dzięki której inżynier i kapitalista był obojętnym, albo wręcz niechętnym dla robotnika, który nawzajem płacił im obojętnością, nienawiścią i wszelkiego rodzaju niedbalstwami, jeżeli nie nadużyciami.



PORTRET, MISTRZA ANGIELSKIEGO.

Jednym z najwyższych ideałów cywilizacji jest—możliwe podniesienie dobrobytu klas pracujących, a więc—wszystkich członków społeczeństwa, bo każdy z nas jest jakimś pracownikiem. Lecz, dążąc do tego celu, cywilizacja nie obiecuje nam wiecznej wiosny, ani rzek, mlekiem i miodem płynących. Pragnie ona, ażeby każdy człowiek miał zdrowy i posilny pokarm, skromne, lecz wygodne mieszkanie, dostateczną ilość odzieży i bielizny, czystość fizyczną, zabezpieczenie na starość i na wypadek choroby, a nareszcie—godziwe rozrywki i udział w umysłowym ruchu przez oświatę. Zapewne, nie jest to raj na ziemi, lecz w każdym razie bardzo znośny, bardzo pożądany rodzaj bytu. Usunąć głód, chłód, brud i nudy byłaby to naprawdę wielka zdobycz ludzkości!

Jak prędko i przy jakich warunkach my osiągniemy podobnego stanu zamożności? Przewidzieć to można przynajmniej do pewnego stopnia.

I tak. Był pracownika francuskiego mniej więcej zbliża się do ideału, który nakreślił. Porównajmy więc nasze warunki ekonomiczne z francuskimi, a dowiemy się, jaką jeszcze drogę przejść nam wypadnie. Według A. Co-

Nie twierdę, Boże uchoj! ażeby choroba ta ogarniała większość narodu, gdyż większość, osobliwie klasy, związane z rolnictwem, są pracowite. Natomiast wśród poważnej mniejszości znaleźć można nieuleczalnych próżniaków, którzy albo pracują niedbale i niepunktualnie, albo tylko wówczas, gdy przyciśnie ich ostateczna potrzeba, albo—nic zgoła nie chcą robić. Ileż to razy zdarzało się, że stojący na rogach ulic, niby to wyrobownicy, odrzucali ofiarowywaną pracę, odpowiadając, że „im się to nie opłaca!” Stać pod murem, choćby na deszczu, opłacało się...

Wogóle ta część życia społecznego, to jest: praca, stoi u nas bardzo niedobrze i bodaj czy nie jest najgłębszym źródłem wielu klęsk narodowych.

Przedewszystkiem pracy naszej, wziętej w jak najszerszym zakresie, brakuje—jedności. W takiej Francji można znaleźć większe i mniejsze fabryki, gdzie wszystko jest francuskie: właściciel, inżynierowie, robotnicy, agenci handlowi, materiały surowe, motory i mechanizmy wykonawcze, nawet wynalazki i drobne ulepszenia. Tymczasem u nas bardzo często można spotkać fabrykę, gdzie kapitał jest cudzoziemski, dyrektor, inżynierowie

ste'a około roku 1889 wartość Francji wynosiła mniej więcej 300 miliardów franków, prawie 8,000 franków na mieszkańca, zaś według St. Koszutkiego około roku 1900 wartość Królestwa Polskiego wynosiła mniej więcej 12 i pół miliardów franków (franka liczę po 40 kop.), prawie 1,250 franków na mieszkańca. Chcąc zatem dorównać Francuzom w dobrobycie, musimy postarać się, ażeby majątek naszej przeciętnej jednostki podniósł się przeszło o 6,000, a wartość Królestwa o 55 miliardów franków...

W jaki sposób osiągnąćby to można?... Czy za pomocą strajków częściowych i ogólnych? czy przez zmuszanie pracowników, ażeby nie pracowali? czy przez zabijanie właścicieli fabryk lub inżynierów? czy przez niszczenie materiałów surowych, psucie machin i wywozienie z fabryki towaru?... Wcale nie! Jest tylko jeden odwieczny i wypróbowany sposób: praca wytężona, mądra i zgodna, w której kapitalista, inżynier i robotnik czuliby się jak najściślej związanymi częściami jednej całości, w której fabryka, warsztat, sklep, czy folwark stałby się dla nich wszystkich niby domem rodzinnym. Muszę jednak przyznać, że na taki układ stosunków długo jeszcze będziemy czekali.

Nie trzeba też wyobrażać sobie, że w najbliższych czasach praca robotników będzie lżejsza; przeciwnie, ona raczej wymagać będzie coraz większych wytężeń. Jeden z najrozumniejszych kapitalistów amerykańskich, A. Carnegie, zatrudnia około 15,000 robotników i płaci przeciętnie jednemu około *siedmiu rubli* dziennie, ale też i prędko ich zużywa. W jego zakładach życie robotników jest bardzo ciężkie — „i przeciw temu nic nie mogę poradzić”, mówi Carnegie. Skutkiem szalonej konkurencji przemysł staje się podobnym do wyścigów, w których najprędszy zdobywa nagrodę, najsilniejszy wygrywa bitwę.

To też Carnegie nie ufa pięknym obietnicom socjalistów. „Jestem—mówi—ewolucjonistą, a moim mistrzem Herbert Spencer... Kto chce coś zbudować, musi kłaść jeden kamień na drugim i posuwać się kroczeniem. Gdy więc socjaliści żądają od nas, ażebyśmy jednym skokiem dostali się z ziemi na księżyc, my nie porzucimy naszych skromnych rusztowań i, zamiast latać, dodamy jeszcze jeden schodek do poprzednich... W rezultacie wszyscy dążymy w tym samym kierunku, i nie wątpię, że kiedyś osiągniemy nieba. Ale gdy żądają ode mnie, ażebym już dziś przypiął skrzydła, odmawiam i trzymam się mojej drogi, prawda, że długiej, ale pewnej”.

Słowa te doświadczonego i, bądź co bądź, uczciwego kapitalisty powinnyby dobrze zapamiętać wszyscy nasi reformatorowie polityczni i społeczni. Z pewnością rodzaj ludzki kiedyś bardzo wysoko wzbije się ponad ziemię, pod tym jednak warunkiem, że będzie posuwał się drobnymi kroczkami, mocno układając jeden kamień na drugim.

Zresztą my już niejednokrotnie próbowaliśmy skoków i lotów!...

Szanownych prenumeratorów „Tygodnika Ilustrowanego“ prosimy o wniesienie opłaty na rok przyszedł.

JASEŁKA.

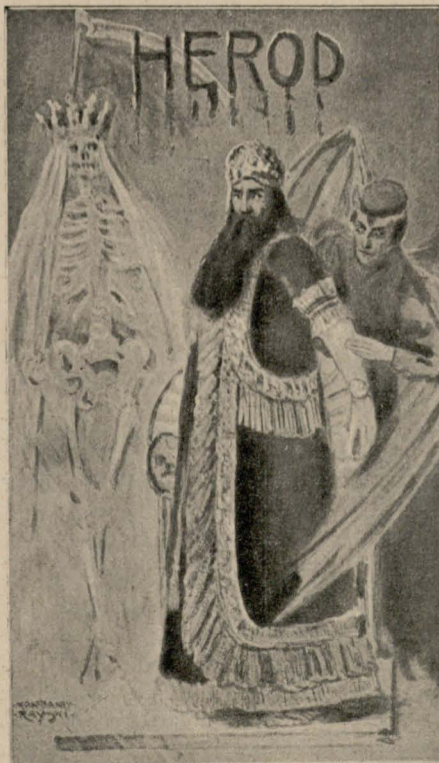
„Jasełkami” w języku staropolskim nazywano zbity z desek żłób dla dawania karmi zwierzętom. Od wyrazu tego wzięto później nazwę dla przedstawień religijnych na Boże Narodzenie, wyobrażających żłobek z Dzieciątkiem Jezus w szopce, Najświętszą Maryją Panną, Ś-tym Józefem, Trzema Królami i t. d. Taką szopkę opisuje nam dość szczegółowo Kitowicz w swoich pamiętnikach. Rychło jednak z wnętrza kościołów przeniesli ją pomysłowi żacy do domów świeckich, przyczem



Piast (Betleem Rydla)

Wł. Tetmajer

urozmaicili swe przedstawienia całym szeregiem figur, nic wspólnego nie mających ze skromną stajenką w Betleem. Początkowo więc wkroczył na *teatrum* szopki cały niemal Olimp, który, zgodnie ze stylem epoki, dopomagał młodocianym poetom baroku polskiego klecić ody na cześć „klamki wielkopańskiej”, do której cisnęli się przede wszystkim po swój skromny, świąteczny zarobek rozpuszczeni ze szkół uczniowie. A że była to epoka, w której wiersze składać umiał niemal każdy, kto dotarł szczęśliwie do „poetyki”, sypały się więc, jak z rękawa, utwory i śpiewki, ilustrujące widowiska, pełne śmiałych koncepcji i innowacji. Wszystko to przysypał już oddawna popiół niepamięci. Szopka tego typu zniknęła z chwilą, gdy zniknął typ żaka dawnych szkół polskich. Tradycja jednak przekazała potomności samą ideę szopki i sprawiła, że z okrucich dawnej puścizny jasełkowej powstała szopka późniejsza z królem



Szopka

K. Rayski

Herodem, druciarzem, krakowiakiem, Małgorzatką i całym szeregiem mniej lub więcej zabawnych figur, które pamiętamy wszyscy z czasów swego dzieciństwa, a które do dziś dnia jeszcze można oglądać w Warszawie, pod mianem „Szopki krakowskiej”.

Przed laty trzydziestu nie było jeszcze domu, gdzie podczas Świąt Bożego Narodzenia nie zjawiałby się przywołany z ulicy „szopkarz”. Dzisiaj już tylko niewielu miłośników przeszłości trwa przy starym zwyczaju, a i ci z trudem coraz większym odszukują szopkę, która znikła zupełnie ze środowiska, kryjąc się jeszcze po zaułkach, gdzie nie przestała być rozrywką świąteczną dla „mniej wybrednych”, lub po zakładach dobroczynnych i ochronkach, gdzie przedstawienia jasełkowe urządzone są przez dzieci na dochód instytucji.

Wszystko to jednak, przy braku kierownictwa kulturalnego, przy zupełnym rozbracie z poezją ludową, która dawniej rozciągała swoje skrzydła opiekuńcze nad szopką i budziła w młodocianych żakach ducha szczerze twórczego, przy strywalizowaniu smaku i zbanalizowaniu konceptu, straciło powab i charakter właściwy.

I byłaby szopka niewątpliwie uległa zupełnej zagładzie i unicestwieniu, gdyby nie „Jasełka” Konopnickiej i „Betleem polskie” Rydla.

Szczególnie Rydel ma w tym kierunku zasługę dużą. Wprowadzone przez niego do szopki



Dziadek (Betleem polskie)

Wł. Tetmajer

postacie wniosły tam z sobą odrazu powiew poezji, nie zatracając naiwnego stylu swoich pierwotnych wzorów.

Od tej chwili już nie upadek, ale odrodzenie jest przed „jasełkami”. Raz wkroczywszy na drogę artystyczną, pójdą one po niej niewątpliwie, tworząc jedno więcej ogniwo w przymierzu „młodzi dawnymi a młodszymi laty”. Z. D.

Nasze święto.

„Chociaż to życie idzie po grudzie, jak mi Bóg miły, dobrzy są ludzie”.

To znane, pocieszające i optymistyczne wyrażenie przychodzi na myśl, kiedy mamy oceniać zachowanie się społeczeństwa, jego wybitnych przedstawicieli i prasy w stosunku do jubileuszu *Tygodnika*.

W powszedniej pracy redakcyjnej, najeżonej trudnościami, narzekaniami błahemi i błahem również niezadowolaniem, nieraz przychodzą chwile zniechęcenia. Tem miłsza jest nagroda usilnej pracy i starań w postaci uznania ogółu.

Tego uznania nie szczędzono nam. Świadczą o tym głosy pism, liczne telegramy i listy z życzeniami, jakie z okazji jubileuszu otrzymaliśmy.

Niechże nam wolno będzie zaszczytnymi dla nas wyrazami podzielić się z wiernymi czytelnikami. A zacząć wypada od głosów pism, wyrażających różnorodnych odmian opinii społecznej.

W najpoczytniejszym *Kuryerze Warszawskim* Zdzisław Dębicki charakteryzuje w następujący sposób znaczenie *Tygodnika Ilustrowanego*:

„Dzisiejszy numer *Tygodnika* jest numerem jubileuszowym, wydanym z okazji 50-lecia tego

pisma. Godzi się w takiej chwili pokłonić redakcyi, która ma za sobą pół wieku pracy wytrwałej, nawskroś kulturalnej, ożywionej myślą wiązania przeszłości z „teraźniejszością i przyszłością.

„Służba Tygodnika pod sztandarem prawdy i piękna jest dobrze znana. Niema inteligentnego domu polskiego w granicach dawnej Rzeczypospolitej, gdzie to pismo obrazkowe, zjawiające się regularnie co tydzień, nie miaoby przyjaciół. Kilka pokoleń wychowało się na niem, czerpiąc z jego kart pokrzepienie w chwilach ciężkich, nadzieję w chwilach smutnych, a radość w chwilach złudnych nadziei. Tysiące Polaków, rozrzuconych po świecie, poczynając od ziem, położonych tuż za granicą między ojczystej aż po krańce kontynentu — i dalej — za oceanami, pod niebem obu Ameryk, czerpały i czerpią z kart Tygodnika wiadomości o życiu polskiem. Nie jest to więc tylko święto pisma. To także święto tej idei, która łączy nas wszystkich i tych, co rozproszeni, jak liście, oderwane od drzewa, w tęsknotach swoich zwracają się zdaleka ku wspólnej ziemi, ku wspólnym troskom i wspólnym ukochaniom.

„Tej właśnie idei łączenia i zespalania, wiązania i uświadamiania narodowego Tygodnik oddany był od początku swego istnienia, będąc przez długi czas w okresie najcięższym jedynym międzydzielnicowem pismem polskiem, które rozpowszechnione było nie tylko w Królestwie, na Litwie i w Rusi, ale również w Galicyi i w Poznańskiem, a zarazem na wychodźstwie i w koloniach polskich”.

Głos Warszawski poświęcił kilka uwag Tygodnikowi w sam dzień jubileuszu w n-rze 286-ym.

„My, wszyscy piszący, w wieku dziś już, niestety, dojrzałym albo i przejrzałym, uczyliśmy się czytać i czerpaliśmy pierwsze wrażenia wzrokowe o kraju ojczystym, o dalekich lądach i morzach, do których rwała się wyobraźnia dziecinna, z Tygodnika Ilustrowanego. I bez pewnego rozrzewnienia, bez wdzięczności za te pierwsze miłe wspomnienia nie możemy myśleć o piśmie, które właśnie jest równie cichym, jak wielce zasłużonym jubilatem.

„Ale nie tylko uczucia wdzięczności za te pierwsze miłe wspomnienia każą nam z życzliwością myśleć i mówić o pięćdziesięcioleciu pożytecznej pracy na wysuniętej placówce piśmiennictwa naszego. Słowa uznania dyktuje nam wartość pisma”.

A potem, już jako Gazeta Warszawska, poświęcił numerowi jubileuszowemu duży felieton, chwając pomysł:

„Dwa były sposoby upamiętnienia ważnej daty i w historii pisma, i w historii piśmiennictwa polskiego, z którym Tygodnik nierozdzielalnymi jest złączony węzłami. Można było zaprosić do udziału najznakomitszych pisarzy, najlepszych rysowników i wydać numer specjalny.

„Redakcja Tygodnika uniknęła szczęśliwie tej banalności. Bo dla jego czytelników znakomici pisarze i znakomici rysownicy nie są bynajmniej osobliwością, lecz strawą zwyczajną; wszak w ostatnich numerach widzieliśmy stale obok siebie Weysenhoffa, Reymonta, Prusa, żeby wymienić paru tylko.

„Wybrano tedy sposób inny. Postanowiono w okazowym zeszytcie dać niejako streszczenie, skrót wszystkich stu tomów Tygodnika, wraz z historią pisma i z ilustracyami współczesnymi, także z tych samych tomów zaczerpniętymi. Tym sposobem powstał numer i bardzo ciekawy, i posiadający wartość cennego źródła bibliograficznego, w wielu wypadkach źródła historyczno-literackiego. Przypatrzmy się teraz, jak i jakimi siłami wywiązała się redakcja ze swego zadania”.

„Z ust wszystkich, którzy do rąk numer ten wezmą, spłynie życzenie *Ad multos annos*. Niechże je wygłosi jeden z pierwszych stary czytelnik, w przekonaniu, że łączy się z niem i młoda redakcja najstarszego pisma — *Gazety Warszawskiej*”.

rozwoju umysłowości polskiej. Przez Was płynąć ma, mówiąc zwrotem Krasieńskiego, nie tylko piękność, jak przez poezję, ale i użyteczność. Tygodnik, rzecz żywa, którą z tygodnia na tydzień od pół wieku z poprzednikami swymi robicie, nie Waszej osobistej służy delectacyi, ale dla ludzi jest mnogich i dla pokoleń, pod sądem jest przeto wymagań i wytrzymywać musi najdalej idącą miarę obiektywną historii, wiodącej w przyszłość przez kapryśny dzień dzisiejszy (przepraszam: dla Was—przez kapryśny tydzień bieżący).

„Jedyny sposób pogodzenia powagi dziejowej z kaprysem dnia — jest gest klasyczny. I ten Wam zawsze był do twarzy. Klasycyzm—to harmonia piękna i dobra, a tak harmonijnie łączyła się prawie zawsze w księgach Tygodnika sztuka z publicystyką, iż był dla nas, odkąd go z dzieciństwa pamiętamy, kalos i agatos.

„Tygodnik, nie hołdujący zbyt nio modzie, zachowujący swoją tradycyjną sylwetę i dbały o to, aby nie wypaść z równowagi, był wyrazem przez lat 50 wytrawnej kuitury społeczeństwa starego, które włada swoim życiem wewnętrznym, nie pyta przechodniów o drogę, bo wie, dokąd dąży, i chce zawsze dążyć naprzód. A Wam tem łatwiej skupić się klasycznie w zadaniach wiecznych, że nie służycie walce politycznej stronnictw, że, idąc środkiem i trochę górą, jesteście raczej dziejopisami, niż rycerzami chwili.

„Umysłowość prawdziwie kulturalna ma tę cechę znamieną, że umie cenić swój własny i ojczysty dorobek. Ceni go nie z pychy, jaką daje dziedzictwo bez zastugi, ani z „kołtuństwa”, jak się mówi we Lwowie, które się boi nowinek, ale z poczucia indywidualności swojej i narodu. A to poczucie ustala się wtedy, gdy umysł ma świadomość trudu przeżytego, gdy sam był w pracy tworzył i współdziałał w tworzeniu ze społeczeństwem. Wtedy wie on, jak trudno dojść do pokazyjących rezultatów, a nadto, że cenniejszy jest własny dorobek mały, ale dorobek, niż duża rzecz, surowo zapożyczona.

„Umysł kulturalny jest samowiedzą historyczną zbiorowości i musi być z natury rzeczy patryotyczny. Rodowód jego to dokonana ze społeczeństwem praca duchowa; daje mu rodowód ten w pewnym znaczeniu arystokratyczną postawę, że nie wstydy się być sobą i gardzi parweniuszowskiem upatrywaniem postępu w tem, co jest obce, dlatego że nie jest swoje. Człowiek tego typu nie narzeka próżno na swoje społeczeństwo (on sam jest społeczeństwem i za nie odpowiada) i nie lekceważy swojszczyzny, choćby dlatego, że zna obczyznę.

„Nie jest to więc parafianiszyna, ani sobkostwo narodowe; patryotyzm taki wyrasta, jak kwiat, z głębokich przeżyć duchowych ze swoim środowiskiem, jest utwalonem w samowiedzy i w uczuciu przeświadczeniem, że tylko przez zjednoczenie się dusz w twórczości narodowej społeczeństwo może dotrzymać kroku ludzkości na drodze postępu, że tylko w tem zjednoczeniu warto ostatecznie żyć i umierać, bez niego nie żyje się, jeno jest się gapiem trudu cudzego.

„Tygodnik Ilustrowany tym patryotyzmem, płynącym z dobrej kultury, od początku celował, odgrywał przez to rolę dodatnią w organi-

REDACJA

„Tygodnika Ilustrowanego” Warszawa, ul. Zgoda 1. 12.
na ręce D^r Józefa Wolffa.

Pamiętnym dniu pięćdziesięciolecia „Tygodnika”, przesyłają serdeczne życzenia *ad multos annos*.

Lwowscy Artysci:

Adres jubileuszowy artystów lwowskich

Obszerny felieton numerowi jubileuszowemu poświęciło także galicyjskie *Słowo Polskie*. Ale zamiast wyjątków z niego wolimy przytoczyć list, który nadesłał nam jego redaktor naczelny, p. Zygmunt Wasilewski.

Szanowny Panie Redaktorze!

„W półwiekową rocznicę istnienia i chlubnej pracy Tygodnika Ilustrowanego składam Panu od siebie i grona redakcyjnego koleżeńskie pozdrowienie wraz z życzeniami, abyście wszyscy, którzy dziś pracujecie w Tygodniku, oglądali setny jego jubileusz i mogli mu wróżyć dalsze jego setki lat dodatniej dla społeczeństwa polskiego służby.

„Jesteście na głównym trakcie historycznym

zowaniu opinii, kształcąc smak organicznie na swojskim dorobku. Dlatego zapisał się chlubnie w dziejach kultury polskiej.

„Oby nadal coraz sprawniej dzieje narodowe, coraz szczęśliwsze, pisał i ilustrował! Tego życzymy *Tygodnikowi* i Wam, jego kierownikom. Cześć i pozdrowienie.”

Z. Wasilewski.

W warszawskim *Słowie* czytamy:

„Niema co mówić, wspaniała kartę własną w dziejach prasy naszej ma *Tygodnik Ilustrowany*...

„I nie tylko dlatego, że trwa oto lat pięćdziesiąt—pół wieku!—na zajętych posterunku. Dlatego przedewszystkiem, że w ciągu tych lat długich przeszły przez szpalty *Tygodnika* dosłownie: wszystkie siły naczelne piśmiennictwa naszego i malarstwa.

„Kto nie wierzy, niech raczy przewertować wydany dziś ogromny „numer jubileuszowy” popularnego i zasłużonego czasopisma.

„Czy wszystko jednak to, co przepłynęło przez *Tygodnik*, znalazło się potem w wydaniu książkowym i nie zaginęło dla ogółu naszego? Nie, nie wszystko. Tedy pięćdziesiąt roczników *Tygodnika* to jedna z najszacowniejszych, wielka antologia nasza, a zarazem jedyna w swoim rodzaju księga pamiątkowa.

„Na nią też kładziemy wieniec jubileuszowy, uwity z dębu i kwiecia, i piszemy na wieńca tego wstęgach: zbiorowej zasłudze i pomnikowi kultury polskiej—cześć!”

Goniec uczcił półwiekowy jubileusz *Tygodnika* serdecznym i pełnym zwykłego humoru wierszem Ela (Kazimierza Laskowskiego), który zamieszczamy na następnej stronie.

Kuryer Poranny przesyła „Szczęść Boże” na dalsze równie pełne stawy pięćdziesięciolecie—„złoty, publicystyczny godom tygodnika, który zawsze wysoko niósł sztandar świetności, powagi i dostojności polskiego piśmiennictwa”.

Nowa Gazeta mówi, że „zeszyt pamiątkowy świadczy, że *Tygodnik Ilustrowany* zajmuje znaczną kartę w historii umysłowości naszej ostatniego wieku. Życzyłby należało, aby redakcja, na pamiątkę jubileuszu, wydała dokładny, bibliograficzny spis artykułów, zawartych w pięćdziesięciu tomach pisma”.

Ignacy Baliński w *Dzienniku Powszechnym* stwierdza na wstępie, że:

„miło jest i pożytecznie rzucić niekiedy wstecz okiem, zrobić przegląd retrospektywny tego, co się przez dłuższy okres czasu dokonało.

U jednostki bywa to często połączone ze słuszną dumą, ale zawsze — niestety — kojarzyć się musi z uczuciem tęsknoty, tęsknoty po tem, co minęło i nie wróci, i z przeświadczeniem o konieczności kresu, zbliżającego się na niewstrzymanych skrzydłach czasu.

„Dzieła zbiorowe, instytucje, a choćby i wydawnictwa peryodyczne, nie podlegają bezwzględnie takim smutnym asocjacyom. Mogą, odnawiając się wciąż przez nowe siły, oglądać się za siebie, zsumowywać plon swych dokonań nawet z długich lat szeregu, a zarazem śmiało patrzeć w przyszłość i w dalszy swój rozwój.

„W tem przyjemnem położeniu znajduje się najstarsze czasopismo ilustrowane polskie, *Tygodnik Ilustrowany*”.

Po obszernem streszczeniu numeru jubileuszowego, czytamy taką trafną charakterystykę ogólną:

„Może właśnie w skutek eklektyzmu i unikania krańcowości, jakich się zawsze trzymali redaktorowie *Tygodnika*, roczniki tego pisma są dość pełnym i obiektywnym odzwierciedleniem rozwoju i fluktuacji naszego życia literackiego i artystycznego, a ten zeszyt jubileuszowy stanowi pożądaną kluczyk do zawartego w nich materiału.

„Uważam go też za wyraz słusznego uznania dla pierwszego pokolenia współpracowników *Tygodnika*, których pamięć u współczesnych już już się niemal zdarła, bo...

„die Todten reiten so schnelle!”...

Kuryer Polski i *Wiadomości Codzienne* podały obszernie streszczenia numeru jubileuszowego, *Dzień* zapowiada takie streszczenie na później, tymczasem zaś składa redakcyi życzenia: *ad multos annos*.

Wszystkie pisma warszawskie poświęciły kilka serdecznych wyrazów przyjęciu jubileuszowemu w sobotę ubiegłą.

Taką samą obszerniejszą notatkę znajdujemy w *Rozwoju Łódzkim* i w *Kuryerze Litewskim*. Przekraczamy kordon graniczny.

Czas charakteryzuje chwilę powstania *Tygodnika* przed pół wiekiem, jako pomyślną i niepomyślną zarazem. Pomyślną, bo budził się ruch narodowy. niepomyślną, bo

„była to chwila przełomowa dla piśmiennictwa i sztuki polskiej: piśmiennictwo w osobach epigonów romantyzmu zgubiło swą drogę dawną, a nowej nie było jeszcze znalazło, sztuka... nie tylko nie świetniała nazwiskami dawnych mistrzów, ale i nie odnalazła jeszcze kierunku narodowego w twórczości.

„Miała więc redakcyja *Tygodnika* wielkie trudności do pokonania. Ale pokonała je szczęśliwie. *Tygodnik* rozwijał się i potężniał równocześnie z rozkwitem nowej sztuki i literatury ostatniego okresu, będąc wiernem odzwierciedleniem tego wielkiego dramatu dźwignia się ducha narodu ku najwynioślejszym wyżynom sztuki. Trzy pokolenia pisarzy i artystów przeszły przez jego szpalty, a każde z nich... pozostawiło na tych szpaltach perły swego natchnienia. To też *Tygodnik* wznosił się na poziom prawdziwie europejski, czego dowodem dyplomy uznania na wystawach wszechświatowych”.

„Niema w Polsce czasopisma ilustrowanego—czytamy w stuletniej *Gazecie Lwowskiej*—któreby tak się ze społeczeństwem waszem zrosło, tak było poczytne i znane, jak *Tygodnik*. W ciągu pięćdziesięcioletniego swego istnienia pismo to, obejmując szeroki zakres polskiej kultury, stało się nicią, wiążącą przejawy duszy narodowej. To też pięćdziesięcioletni jubileusz *Tygodnika Ilustrowanego* ma znaczenie niepoślednie, jako odzwierciedlenie dorobku kulturalnego półwiekowej pracy twórczej, która na kartach tego pisma zasłużonego znalazła wierne i świetne odbicie. Z dumą i otuchą w lepszą przyszłość możemy patrzeć na owoce pracy i twórczości naszej, zamkniętej w rocznikach *Tygodnika*. Nie pominął on żadnego ważniejszego objawu twórczej polskiej myśli, a stojąc ponad waśniami stronnictw, dbał czujnie o rozwój ducha narodowego, na tle najszczytniej pojętych ideałów ogólnoludzkich, którym postać wierny przez całe pół wieku. Na jego kartach spotykamy wszystkie niemal nazwiska myślicieli, działaczy i artystów polskich, którzy niejednokrotnie tu po raz pierwszy się wypowiadali...

„Piękny zeszyt jubileuszowy, który stanie się ważnym dokumentem w dziejach naszego czasopiśmiennictwa, świadczy dowodnie, czem był i jest w Polsce *Tygodnik Ilustrowany*, i starczy sam za chlubne świadectwo. Zasłużonemu wydawnictwu serdecznie życzyć należy takiej samej, jak dotychczas, wytrwałości w pracy, świetnych jej owoców i ciągłego rozwoju”.

Nowa Reforma poświęca *Tygodnikowi* obszerny felieton, pełen uwag ogólniejszej treści:

„Skoro pismo — czytamy tam — wydobywa z twórczości narodowej istotnie to, co w niej jest najlepsze, lub za takie jest przez większość uznane, to wypełnia już całkowicie swoje zadanie, i to wypełnia je dobrze. Pismo bowiem jest tylko pośrednikiem, a nie twórcą samym.

„Pięćdziesięcioletnia historia *Tygodnika Ilustrowanego* poucza nas, że wydawcy jego i redaktorowie nigdy nie ustawali w tem szlachetnem dążeniu, aby tę swoją szczytną i odpowiedzialną rolę pośredników między laboratoryum ducha narodowego a szerokimi warstwami polskiej czytającej publiczności spełniać jak najlepiej i z jak największą dla narodu korzyścią.

„To też dzieje *Tygodnika* tak się silnie

z dziejami naszej sztuki spłoty, że o jednych bez drugich mówić byłoby trudno. Pół wieku zaś takiej pracy, złote gody pisma, które takie sobie stanowisko w dziejach i w teraźniejszości kultury naszej narodowej zdobyło, to fakt nie tylko pamiętny dla właścicieli jego, kierowników i najbliższych współpracowników, ale także i zjawisko kulturalno-społeczne dla całego naszego ogółu ważne i wysoce dodatnie”.

Dziennik Poznański podał obszerną wzmiankę o numerze jubileuszowym.

Taki jest plon prasy. Cytowane głosy zauważyliśmy. Może, a nawet z pewnością są i nieumyślnie pominięte, lub spóźnione, i dlatego się tu nie znalazły.

Przytoczymy teraz dwa listy. Jeden z najstarszych przyjaciół *Tygodnika*, Julian Wieniawski (Jordan), pisze:

„Smutny stan mego zdrowia nie pozwala mi na przyjęcie udziału w dzisiejszem zebraniu. Duchem tam jednak będę obecny. Jako jeden z najwierniejszych, a może i najstarszych współpracowników *Tygodnika*, pośpieszam złożyć redakcyi tak chlubnie zasłużonego pisma serdeczne podziękowanie w przeddzień półwiekowego jubileuszu. Jednocześnie dołączam najszczerze życzenia, aby *Tygodnik*, zajmując tak wybitne stanowisko w prasie polskiej, kroczył i nadal drogą prawdziwego postępu, nie wykluczającego bynajmniej poszanowania tradycyi i wiary, oraz gorącego patriotyzmu”.

Redaktor *Kuryera Warszawskiego*, Konrad Olchowicz, tłumacząc się, że z powodu choroby nie może uczestniczyć w przyjęciu, pisze:

„Ślę Wam serdeczne słowa podziękia za to, „na co patrzyły oczy dziecka, co zapadało w serce młodzieńca ziarnem złotem, aby zakwitnąć nie wiedzącem już do końca życia kwieciem... I życzenia, aby za lat pięćdziesiąt i sto Waszym następcom mogli składać ludzie podobne życzenia równie serdecznie i szczerze, jak ja to czynię w tej chwili. *Tygodnik Ilustrowany* niechaj żyje!”

Na tem kończymy, nie wymieniając długiego szeregu przyjaciół i czytelników naszych, którzy przysłali życzenia jubileuszowe telegraficzne i listowne, bo na to nie pozwalają ramy artykułu.

Wszystkim tym pisarzom, przyjaciółom, prenumeratom i czytelnikom, którzy zaszczylili *Tygodnik* swemi życzeniami i powinszowaniami, składamy serdeczne, staropolskie „Bóg zapłać”.

* * *

Dzień jubileuszowy pozostanie na zawsze w pamięci całej redakcyi *Tygodnika*, jako świetlane wspomnienie, którego nie zatrą nigdy przykrości i trudy codziennego życia.

My, teraźniejsza drużyna *Tygodnikowa*, za ledwie część tych licznych dowodów życzliwości, uznania bierzemy dla siebie. Należą się one tym, którzy poprzedzili nas w pracy dla ukochanego pisma, tych wszystkich, którzy promieniami swego talentu przeświecili, jak słońcem, jego karty. Przewyższyli nas wielokrotnie zasługą; nie przewyższyli miłością — i w tem jest chluba i nadzieja nasza.

Im przedewszystkiem, a potem Wam, współpracownicy, przyjaciele, towarzysze nasi, Wam, drodzy goście w dniu uroczystym, i Wam, dalecy, a bliżcy duchem druhowie, za serce Wasze, za słowa życzliwe, za odczucie tej służby narodowej, którą pełnimy, stokrotnie dzięki i gorące bratnie pozdrowienie.

Redakcyja.

Na przyźbie.

Tygodnikowi w pięćdziesięciolecie.

W kamienicy obok „Zgody”
Z godłem „Sztuki i Oświaty”
Tygodnika złote gody
Świącą bracia-literaty!
W redakcyjnej pięknej sali
Tłoczno, żebyś nie wbił szpilki...
SzeF-redaktor lulkę pali,
Współredaktor je pastyki!..
Pochwał, życzeń pełna buzia!
Wije wspomnień się nic złota...
Or-Ot patrzy w pana Józia,
A pan Józef na Or-Ota!
Jakby w rajskiej jakiej strefie,
Patrzą ku się w dymu chmurze—
Or-Ot szepce:—Mój Józefie!
A pan Józef:—Mój Arturze.
—Lat pięćdziesiąt!—pół stulecia!
Ładnie wyszła pierwsza strona...
Zobaczyli Frenkla Miecia
I objęli go w ramiona!
Obok, już po winnej dawce,
Pan Jan zajął w sali środek.
Otoczają współwydawcę
Holewiński, Galle, Włodek.
Znowu, niby strzały w miocie,
Brzmia życzenia w takt kielicha!
Znow szef szepce:—Mój Or-Ocie!
—Mój Józefie!—Or-Ot wzdycha.
A tam w głębi siedzą starzy
Starej firmy pracownicy,
Gwarzy Jordan, Czesław gwarzy,
Z młodym ogniem we żrenicy.
I tu również dzwonią echa,
Od westchnienia do całusa...
Pan Franciszek się uśmiecha,
Wznosząc kielich na cześć Prusa,
I choć wokół widzi znawców,
Ex abrupto pali mowę,
Pijąc duszkiem do wydawców,
Że zajęli tę „Placówkę”!
Naprzeciwno w drugim kącie,
Z ironicznym gestem pańskim
Siadł Weysenhoff przy Reymencie
I rozmawia o... Wyspiańskim.
Dalej młodzi... „Polska młoda”!
Różnych odmian i gatunków,
Arabeski, sonet, oda
Dolewają sobie trunków...
Rojno, gwarno, życzeń krocie,
Choć już dzionek w mroków kwefie...
—Ładna chwila, mój Or-Ocie!
—Ładna chwila, mój Józefie!
Ale dosyć! Żart na stronę,
Stara firma niechaj żyje!
Niech w weselu, czy tęsknocie
Tryska z pisma światła smuga!
Tego życzy, „mój Or-Ocie”,
Tobie, SzeFom...

El—Wasz sługa.

Wierszyk ten zamieszczony był w *Goncu* na-
zajutrz po naszym święcie dn. 12 b. m.

Jeden z ostatnich.

Przed laty trzydziestu corocznie z początkiem
lata ścigało do Warszawy przelotne ptactwo dra-
matyczne, mając gniazda w kilku t. z. „ogród-
kach”, gdzie liczna publiczność przy kufelku ta-
niego bawara wylewała tzy nad losami „Dwóch



Jan Szyborski.

sierot”, ze zgrozą patrzyła na opowieść „Trzy-
dziestu lat życia szulera”, lub śmiała się szeroki-
m śmiechem z przygód Barnaby Fafuty i Józia
Grojseszyka w „Podróży po Warszawie”.

Był to okres największego powodzenia „ogród-
ków”, najgłośniejszej sławy występujących tam
artystów. A jednym z najcenniejszych wśród nich
był Jan Szyborski, zmarły w ubiegłym tygodniu.
Bardzo zdolny zarówno w zakresie ról lirycznych,
jak i komicznych, naprzemian wzruszał i bawił
publiczność, dla której był wielką siłą przycią-
gającą.

Znikły „ogródki”... Na miejscu, gdzie rozbi-
jali swoje namioty letnie artyści, panoszy się
przez rok cały wyraźnie i bardzo podkasana mu-
za. Znikają też powoli z widowni życia i sami
artyści: Szyborski jest jednym z ostatnich.

W ciężkiej doli przeszedł mu schyłek życia.
Przyszła starość, nieraz brakło zajęcia, brakło
upojeń sławy. Pracował dorywczo i—zmarł na
stanowisku, reżyserując prowincjonalny teatr
amatorski. A że był dobrym artystą i znacnym
człowiekiem, zasłużył na dobre wspomnienie.

Z prasy polskiej.

Najstarszy nasz tygodnik ilustrowany dla kob-
biet, *Bluszek*, przeszedłszy obecnie pod wyłączne
kierownictwo znanej działaczki społecznej i lite-
rackiej, p. Zofii Seidlerowej, doskonali się coraz
bardziej. Nie jest wyłącznie „żurnalem mód”, ale
jednocześnie organem, w którym znajduje odbicie
praca kobiet we wszystkich dziedzinach życia
społecznego. Dodać należy, iż *Bluszek* stara się
również o wysoką wartość swego działu literac-
kiego i nie tylko zaopatrzył swój odcinek powie-
ściowy w utwory takich autorów, jak Kazimierz
Przerwa-Tetmajer, ale i ogłosił konkurs powie-
ściowy z nagrodą rb. 1,000, który obw. jak najpię-
kniejsze wydał plony i przysporzył pięknego ma-
teryentu literackiego sympatycznemu czasopismu.

Król Leopold belgijski.

Umarł jeden z panujących europejskich, sta-
rzec, którego osoba żywo zajmowała publiczność

ZMIANA TRONU W BELGII.



Król Albert.

Następca tronu belgijskiego.

Królowa Elżbieta.

TRZY CÓRKI LEOPOLDA II.



Księżniczka Klementyna.

Księżna Stefania (hr. Lonyay).

Księżniczka Ludwika.

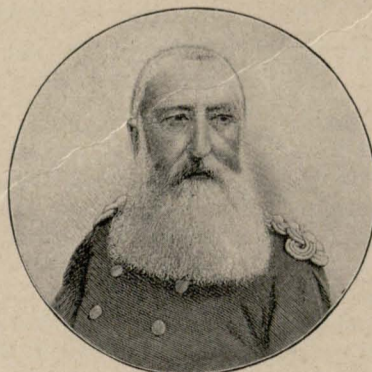
Do matek-Polek, do polskich dzieci.

W głębokiej dali, w Kazaniu, nad Wołgą, od
dwóch lat istnieje początkowa, swojska szkoła.
Ile trudów, zabiegów, nadludzkich wysiłków zużył
wypadło, by stworzyć z niczego to dzieło, wie-
dzą i rozumieją ci jedynie, co bliżej na to pa-
trzeć. Ale szkoła istnieje, i da Bóg, rozwijać się
i istnieć będzie. Dziś ma swój własny lokal,
idealne nauczycielki, biedną, ale pocziwą dzia-
twę. W ich młodocianych serduszkach zaszcze-
pić wszystko to, co nam jest święte a drogie, oto
przewodnia nić pracy naszej. Jednym z potężnych
środków to zachęcić już za młodu do czytania
w ojczystym języku na dalekich kresach, by póź-
niej w życiu utrzymać łączność z tem, co nasze.
W tym celu pragniemy założyć biblioteczkę przy
szkole w Kazaniu dla biednej dziatwy, dla chci-
wej wiedzy, lecz środków materialnych brak.
Więc do matek, do dziatwy się zwracam z prośbą:
w każdej inteligentnej rodzinie znajdują się, są,
muszą być książeczki dla dzieci, już przeczytane,
zbyteczne, zbierzcie je, ofiarujcie dla maluczkich
z daleka, a bliższych krwią i duchem.

Proboszcz w Kazaniu, ks. Śliwowski.

P. S. Książki wysyłać można do redakcji pi-
sma, które umieszcza odezwę, lub do kantoru
drukarni P. Laskauera, Nowy-Swiat 41.

europejską, król belgijski Leopold II, drugi z sa-
sko-koburskiej dynastii na tym tronie, który ma-
łem, neutralnym państwem rządził przez lat czter-
dzieści cztery. Rządził bardzo ściśle konstytucyj-
nie—i to mu na dobro zapisze historia. Zapisze
mu jeszcze i to, że za jego rządów Belgia pod-
niosła się znakomicie pod względem gospodar-



Leopold II.

czym. Inna rzecz, dlaczego tak ściśle przestrze-
gał konstytucyjnej nieodpowiedzialności monar-
chy. Może dlatego, że pozostawiało mu to dużo
wolnego czasu, który poświęcał zaspokojeniu

dwóch namiętności: z bogacania się i... kobiet
Może za przykładem króla, za pośrednictwem
państwa Kongo, z bogacą się i kraj; to pewna, że
pod względem życia prywatnego nie szedł w śla-
dy sędziwego rozpustnika. Rozwiązały bowiem sta-
rzec był surowym sędzią dla innych; córki, które
szły za jego złym wzorem: Ludwiką, eks-kobur-
ską, i Stefanię, eks-arcyksiężnę Rudolową, pre-
kładał i nie chciał widzieć na oczy, nawet przed
śmiercią. Majątek swój znaczny umieścił nawet
w ten sposób, że może córki wydziedziczyć.
To też prócz kilkunastu milionów, zapisanych ro-
dzinie, reszta pójdzie zapewne dla ukochanych,
z których jedna jest źródłem przydomka „Kleo-
polda”, druga zaś, jak się okazało, żona morgana-
tyczna, bar. Vaughan, córka portyera, odznaczy-
ła się tem, że siedmdziesięcioletniego królewskie-
go małżonka obdarzyła trojgiem dzieci.

Konkurs artystyczny „Sfinksa”.

Redakcja *Sfinksa* ogłasza konkurs artystyczny
na winięte piórkową, na następujących warun-
kach: 1) winięty mają być wykonane w jednym
kolorze, piórem, tak, aby reprodukowane być mo-
gły sposobem kreskowym (bez siatki). 2) Winięty
nadsyłane być mają w rozmiarach 20 centymetrów
u podstawy, a 12 do 15 wysokości (20X12 do 15
cm.), tak, aby po zmniejszeniu w reprodukcji
można było otrzymać normalną winiętkę dla *Sfin-
ksa* o dziesięciocentymetrowej podstawie. 3) Wi-
nięty na konkurs, odpowiednio opakowane, nad-
syłać należy do redakcji *Sfinksa* (Hortensya 4)
bezmiennicie, zaopatrzone w godła; nazwisko au-
tora mieścić się powinno w zapieczętowanej ko-
percie, oznaczonej tem samym godłem. 4) Osta-
teczny termin nadsyłania winięty na konkurs ozna-
czony zostaje na dzień 31 stycznia 1910 roku (do
godziny 6-ej wieczorem). 5) Za najpiękniejsze
winięty Redakcja *Sfinksa* przeznaczą trzy nagro-
dy, a mianowicie: nagroda I wynosi rb. 40 (ko-
ron 100); nagroda II—rb 20 (kor. 50) i nagroda III
rb. 15 (kor. 37 i pół) Uwaga: Jeden artysta mo-
że przysłać na konkurs najwyżej dwie winięty.
6) Uproszony przez redakcję sąd konkursowy, do
którego należeć będą pp.: Wiktor Gomułcki, Jó-
zef Holewiński, Jan Kleczyński, Tadeusz Jaroszyn-
ski, Leopold Méyet, Stefan Popowski i Franciszek
Siedlecki, oraz Redakcja *Sfinksa* w osobach Wła-
dysława Bukowińskiego, Ignacego Chrzanowskiego
i Ignacego Matuszewskiego, wybierze sześć naj-
piękniejszych winięty, które reprodukowane zosta-
ną w jednym zeszycie *Sfinksa*. 7) Ostateczne
przyznanie nagród i odznaczeń zależeć będzie od
Prenumeratorów i Czytelników *Sfinksa*, którzy
rozstrzygną konkurs w drodze głosowania na
przygotowanych specjalnie kartkach, wyznaczając
większością głosów nagrody i odznaczenia. 8) Oryginały nagrodzonych i odznaczonych wi-
nięty pozostają własnością Autorów. Redakcja
Sfinksa zastrzega sobie tylko prawo reprodukcji

OD ADMINISTRACYI.

Premium nasze, „Duch Pru-
ski”, album ze znakomitymi ka-
tonami Wojciecha Kossaka,
już rozpoczęliśmy rozsyłać Szano-
wnym Prenumeratorom naszym.
Ze względu na warunki pocztowe
i na ograniczoną ilość przyjmo-
wanych każdodziennie egzemplarzy,
a także ze względu na wielkość
nakładu, wysyłka ta trwać będzie
od 15 b. m. do 15 stycznia 1910 r.

Najlepsze **Kakao, Czekolada, Cukry
deserowe**
J. FRUZIŃSKI.

E. MODZELEWSKI—WARSZAWA

Fotograf Filharmonii
„ATELIER MODERNE”
Marszałkowska 81B, telefonu 30.52
— Marszałkowska 131, telefonu 31.69.

Przechowanie Mebli
„SYRENA”
Krak. Przedm. 38. Telef. 11-22

PIWO DROZDOWSKIE marcowe, kuracyjne
sprzedaż wszędzie.

**LEOPOLD KOCH, MIODOWA 2.
NAJLEPSZE UBIORY MĘSKIE.**

BIELIZNA MĘSKA I DAMSKA
K. Dutkiewicz, Ś-to Krzyska 30, w Warszawie.

KARDYNAŁ JULIAN
MEDICI



RAFFAEL SANZIO (?)

Ze zbiorów Leona
hr. Pinińskiego

Z PIEŚNI WIGILIJNYCH.

CHOINKA.

Na oścież drzwi otwarto!... skarb sezamów
śnionych
w srebrnych nocach zimowych sny dziecięce
wieści:
iszczą się o aniołkach cudne opowieści,
słodkie pieśni bajeczek i legend złoconych.

Na skrzydłach srebrno-piórych aniołki-motyle,
o złotych szychach włosów, róż-buzi,
chabr-oczach,
w giezełkach, srebrem tkanych, w niebiańskich
rozłocach
zleciały z cud-choinką, a tyle ich, tyle!...

Sen dziecięcy w serdecznej spełnia się radości...
biją mocno serduszka, cud oczka rozszerza—
piąstki prosto przy buziach, jakby do pacierza,
w duszach jedno, ogromne światło szczęścia
gości.

Zbliżają się z zapartym tchem, a nie wierzące
jeszcze, że się ich tęsknot cuda śnią świetliste;

a choinka się pali, jak cacko srebrzyste,
jak ogniami barwnymi gorejące słońce.

Żarzą się w świetle świeczek płomieniste
szkiełka...
srebrne blaski... figurki w pozłótkach iskrzące,
szklane, tęczą kolorów zabawki błyszczące,
pełne słodkich łakoci ozdobne pudełka.

Widzą się oczom dzieci bajki kolorowe:
szczero-złoty łańcuchów mieniące się szychy,
srebrne słońca i z cukrów kwiatowe kielichy,
śliczne gwiazdy i kule jakby brylantowe.

Czarodziejskie szopezki... cacka, ze szkła
rżnięte...
purpurowo-błękitne, barwne wycinanki;
u szczytu, skąd zwisają złote cud-firanki,
w świetle lampek Dzieciątko na obrazku
Święte!

Istny cudów świat!.. śliczna, wysniona legenda...
radość płonie w źrenicach... bije ogniem
z duszy.

Za oknem srebrne kwiaty śnieg na ziemię
prószy...
w pokoju dziecięcymi głosy brzmi kolenda!...

Lwów.

ADAM DOBROWOLSKI.

Stara kolenda.

Stara kolęda gdzieś się smęci—
Płynie zawrotną, cichą falą.
Sny niewyśnione w niej się żalą,
Sny, zagrzebane w niepamięci.

Taka przezczysta, taka święta,
Jak łą zroszony uśmiech dziecka—
Nieprzeczuwana, niepojęta
Smęci się nuta staroświecka.

...
Za oknem śnieg srebrzysty prószy
Wicher tumany białe mota—
...Dziecinnych wspomnień bajka złota
Tęsknotą zapłakała w duszy...

JAN PIETRZYCKI.

NA GWIAZDKĘ.

III.

Nie zapomniła też firma M. Arcta i o starszych nieco czytelnikach, którzy nabrali już pewnej wprawy w czytaniu. Dla nich to przystępna w nowej edycji tę jedną z najpiękniejszych książek dziecinnych ostatniego okresu, *Maryi Monopnickiej* przecudną baśń p. t. *O Hrasnoludkach i sierotce Marysi* (cena rb. 240, wytworne wydanie na papierze kredowym rb. 350), w której wysoki poziom artystyczny łączy się z wartością moralną, która jednocześnie czaruje wyobraźnię i porusza serca, która każe czczyć wszystko, co piękne i szlachetne. Dodać należy, że książka ta jest bogato i wytwornie ilustrowana czarnymi i kolorowymi rycinami.

Nowy zbiorek powiastek, wierszyków dla młodszej dziatwy, p. t. *Czytajmy sami*, przygotowała na sezon bieżący kierowniczka *Mojego Pisenka*, dobrze znająca upodobania swych młodocianych czytelników, p. *Maryja Bujno* (cena rb. 1).

Powiastki, na które tu główny nacisk położono, pisane są żywo i zajmująco, potrącając o różne sfery życia, głównie zaś dotycząc bytu dziecięcego, nie pozbawione są przytem pewnej tendencji umoralniającej, a więc i wartości pedagogicznej. Druk duży, wyraźny, papier mocny, liczne ilustracje, winiety, inicjały, zakończeni i t. d. to dodatnie cechy zewnętrzne tej ładnej książeczki.

Tyle—dla naszych „milusińskich”. Ale i starsza młodzież nie może się czuć pokrzywdzoną, bo i o niej również pamiętano. Oto np. leży przed nami „opowiadanie obyczajowe na tle dawnych wieków” p. *Antoniny Domańskiej*, p. t. *Paziowie króla Zygmunta* (cena w opr. rb. 1.50, w ozd. opr. rb. 1.80).

Te „dawne wieki” to czasy Zygmunta Starego, chwila najwyższego rozkwitu naszej potęgi państwowej i bijącego z Wawelu majestatu. Autorka prowadzi z sobą młodych czytelników na świetne komnaty dworca królewskiego, napawa oczy przepychem epoki Odrodzenia, który łączy się przedziwnie z pewną prostotą i dobroduszością „starego” króla i patryarchalnością stosunków na Wawelu. Słowem, „Paziowie króla Zygmunta” wybiega poza szablony powieści historycznych dla młodzieży, a swym humorem, młodzieńczemu wiekowi właściwym, bawić będzie wesoło dorastających bibliofilów.

Znacznie mniej posiada oryginalnego ujęcia epoki nowa powieść p. *Walerego Przyborowskiego* p. t. *Młody konfederat Barski* (cena w opr. rb. 1.35, w opr. rb. 1.65).

Od kilku lat autor „Bitwy pod Raszynem” zasila literaturę dla młodzieży licznymi utworami, osnutymi na krwawych i podniosłych momentach naszej dziejowej przeszłości, jak rok 1794 („Ractawice”, „Grom Maciejowicki”), rok 1831 („Bitwa pod Stoczkiem”, „Reduta Woli”). Obecnie zwrócił się do Konfederacji Barskiej i opowiedział dzieje dzielnego chłopca Bolka, który odznaczył się czynami walecznymi i zwrócił tem na siebie powszechną uwagę. W całości utworu znać

Są to pewnego rodzaju wypisy historyczne, przedstawiające różne strony naszego bytu narodowego do roku 1831 w wyimkach najcenniejszych monografii najznakomitszych naszych historyków, a także w wyjątkach powieści i poematów. Jest to więc wydawnictwo, którego poznanie pogłębi i rozszerzy zakres wiedzy historycznej nie tylko młodzieży, ale i dorosłych.

Oprócz tych dziełek większych rozmiarów księgarnia M. Arcta puściła w świat w tym roku, jak i lat poprzednich, całe mnóstwo niewielkich tomików wydawnictwa *Moja biblioteczka*. Jest już ich ogółem około stu, a z nich w bieżącym sezonie wyszło coś około dwudziestu, a wszystkie mają tę wielką zaletę, że są—tanie: każdy tomik, stanowiący oddzielną całość, w mocnej oprawie, z ilustracjami, kosztuje od 30—60 kopiejek, stanowiąc więc może piękny upominek gwiazdkowy nawet w mniej zamożnych domach. A treść tych książeczek najrozmaitsza. Jest np. kilka powiastek historycznych, jak np. *Antoniny Domańskiej* powiastka z czasów Kazimierza Wielkiego, p. t. *Hanusia Wierzyńkówna* (cena kop. 50), dość udatnie odtwarzająca epokę, lub *Z. Morawskiej* *Dziewięć powiastek historycznych*, z różnych epok od XIII do XIX w. (cena kop. 40), albo wreszcie *Anastazyi Dzieduszyckiej* pogadanki historyczno-literackie p. n. *Co dzieci czytały w chwilach wolnych* (cena kop. 40).

Nierównie liczniej przedstawia się dział powiastek współczesnych, obyczajowych, a zarazem pouczających, o charakterze etyczno-dydaktycznym. Do takich należą np. powiastki *Teresy Jadwigi*, zasłużonej autorki w zakresie dzieł pedagogicznych, p. t. *Szlachetne serca* (cena kop. 60), albo też podniecające wyobraźnię widokiem przygód niezwykłych opowiadanie *Stefana Gębarckiego: Robinson tatrzański* (II wyd., cena kop. 75), jak również składające się na jeden tomik dwa „opowiadania” *Iskierki* dla panienek: *Polna Róża i Lilia* (cena kop. 50), a także przerobiona z czeskiego przez *Maryję Bujno* powieść p. n. *Czarna Elka* (cena kop. 50), oraz teje autorki piękna i szlachetna przeróbka z angielskiego p. t. *Julek i jego sprzymierzeńcy* (cena kop. 60), a wreszcie również z angielskiego tłumaczona powiastka *Białogłowy* (cena kop. 40).

Ale to jeszcze nie wszystko. W tegorocznym bowiem dorobku wydawniczym M. Arcta znajdziemy jeszcze szereg dziełek treści przyrodniczej, w formie powiastek lub pogadek, jak np. wyborne, pełne humoru opowiadanie o oswojonym niedźwiadku, p. t. *Miś-kudłacz*, napisane przez *Ł. Śliwickiego* (cena kop. 60), albo *Harola Hagenbecka* pogadanki *Z życia zwierząt w niewoli*, suto ilustrowane (cena kop. 60). Tutaj również należą książeczki: *Arabelli B. Buckley: Drzewa i kwiaty*, tomik szósty pouczającego wydawnictwa: „Zwróć oczy na przyrodę” (cena kop. 50, z kolorowymi ilustracjami), *Gustawa Monopnickiego* „ciekawe opisy i opowiadania” p. n. *Co się dzieje na ziemi naszej*, z zakresu historii ziemi, meteorologii, oceanografii i t. p. (cena kop. 60). *H. Ewalda* powiastka p. t. *Dwunożny ujarzmił przyrodę* (cena kop. 40), a wreszcie *Janny Andrews* obrazki z życia różnych ludów, p. t. *Nasze siostrzyczki w dalekich stronach* (cena kop. 60).

I teraz, jeśli wymienimy jeszcze powiastkę fantastyczną *Ludwika Harrola* p. n. *Przygody Alinki w krainie czarów* (przekł. z 90-go wyd. ang., cena kop. 60), oraz pełny oryginalności utwór takiego pisarza niepospolitego, jakim był *John Ruskin*, p. n. *Aról złotej rzeki, czyli czarni bracia* (cena kop. 35), wyczerpiemy do dna plon wydawniczy firmy M. Arcta z bieżącego sezonu, oczywiście, w przeglądzie nader pobieżnym, na jaki nam tu szczupłość miejsca pozwala.

* * *

Inne firmy wydawnicze niewiele dodały do tegorocznego plonu książek gwiazdkowych. Kazimierz Idzikowski wydał w dużym formacie, z rysunkami, *Wiązaną wierszyków dla dzieci*,

ułożoną przez p. *Janinę Chlewicką*, wierszyków dość zręcznych i melodyjnych (cena kop. 75).

Księgarnia zaś Konstantego Treptego puściła w świat *Aliony Glinńskiej* powieść historyczną z XIII w. p. t. *Z krwawych dni* (z 4-ma ilustr. Zofii Glinńskiej, cena rb. 1.20).

Utwór ten odtwarza jedną z najsmutniejszych chwil dziejów naszego średniowiecza, pierwszy napad Tatarów pod wodzą Batuchana, za czasów Bolesława Wstydlwego, i obfituje w sceny tragiczne, silnie przemawiające do młodocianej wyobraźni czytelników, a zarazem i w barwne epizody życia obyczajowego, zarówno u nas, jak na wschodzie orientalistycznym.

Kilka bardzo ciekawych książeczek wydała firma G. Centnerszvera i S-ki. Jest tu i książka obrazkowa, barwnie ilustrowana, dla najmłodszych dzieci, p. t. *Radosny dzień* (cena kop. 75).

Jest to żywa opowiadka o tych dwojgu rodzeństwie, którzy z próżniactwa nudzili się, grymasili i czuli się chorymi, ale za poradą rozsądnego lekarza znaleziono dla nich wyborne lekarstwo: zapędzono małych darmozjadów do roboty na folwarku, w ogrodzie, w kuchni, a po tak przepędzonym dniu jedli z apetytem, spali, jak zabici, zapomniawszy o dawnych kaprysach. Stąd morał—nie tylko dla najmłodszych czytelników.

Dla starszych dzieci G. Centnerszwer wydał książkę p. *F. Lazarusówny*, p. t. *Moja gromadka* (z ilustr. M. Gawelkiewicz-Chylińskiej (cena rb. 1).

Opowiada się tu o dzieciach w pewnej ochronie wiejskiej, które z niepokojem i przekorną złością oczekują przybycia „nowej” opiekunki. Ale ta „nowa” umie tak przewybornie przemówić do młodocianych serduszek, że pierwsze lody przyskają od razu, a zgoda i wzajemne zaufanie zapłonują najzupełniej. Dzieci w ochronie, na wycieczkach, przy wspólnej robocie, bawią się doskonale, a bawiąc się, uczą zarazem wielu rzeczy, na które wzrok ich zamknięty był dotychczas. Nic więc dziwnego, że dzieciaki pokochały całym sercem młodą, a tak oddaną im nauczycielkę. Książka wydana starannie, ilustrowana barwnie.

Bardzo ciekawą treść obyczajową zawiera książka znanego już ze swych prac pedagogicznych autora, p. *Janusza Horszaka*, p. t. *Moški, Joski i Strule* (ilustr. S. Lipszycowej, cena rb. 1.20).

Żywo i składnie opowiada p. Korczak o przygodach i życiu kolonii wakacyjnej chłopców żydowskich. Jest rzeczą nader charakterystyczną, jak zachowują się na łonie natury te dzieci bruku warszawskiego, które nigdy lasu ni pola nie widziały, jak rządzą się i sądzą pomiędzy sobą, jakie w tem małym społeczeństwie panują obyczaje, porządek i karność, a jakich dopuszczają się wyroczeń, jakie są ich zabawy i rozrywki i t. p. P. Korczak posiada swój styl własny, dosadny i lapidarny, dzięki czemu opowieść jego może być ciekawa, tem więcej, że autor, jak sam powiada, nic tu „z głowy nie wymyślił”, ale powtórzył tylko to, co widział i słyszał, będąc na kolonii dozorcą.

Ostatnia wreszcie, najcenniejsza bodaj z tegorocznych książek gwiazdkowych, firmy G. Centnerszvera i S-ki, to czarodziejska powieść znakomitej autorki skandynawskiej, *Selmy Lagerlöf*, p. t. *Cudowna podróż* (przekł. J. Mortkowiczowej, ilustr. M. Liljeforsa, cena rb. 1.60).

Wydanie tego utworu w języku polskim zbiegło się z przyznaniem autorce „Legend o Chrystusie” tegorocznej nagrody Nobla w dziedzinie literackiej za całokształt działalności pisarskiej, a więc i za „Cudowną podróż”, która wzbudzi w młodocianych czytelnikach żywe zaciekawienie przygodami owego złego chłopca, Nilsa Holgersona, który, zamieniony w krasnoludka, podróżował na grzbiecie gęsiora i wiele dziwnych, a pięknych rzeczy oglądał. „Cudowna podróż” to nie tylko fantazja, ale zarazem i poezja najczystszej wody, przytem w poprawnym polskim przekładzie.

HENRYK GALLE.



Winieta okładkowa do „Konfederata Barskiego”.

pewien szablon, którego nie umie ustrzedz się Przyborowski w ostatnich swych powieściach.

Należy się wreszcie osobno wzmianka dziełku p. *H. Chotoniowskiej*, p. t. *Z naszej przeszłości* (cena w opr. rb. 1.50).



Rozmawiali głosem, oczyma, rękoma...

JAN HOLEWIŃSKI

IGNACY GRABOWSKI:

Wynalazek prof. Hydrogena.

Tam Wesoły Drażał przystanął i tłómaczył się:

— Wyczytawszy w gazetach wiadomość o wynalazku twoim, szanowny profesorze, sam nie wiem, po co znalazłem się na ławce ulicznej naprzeciw okien twojego laboratorium. Kupiłem pieczonych kasztanów, jadłem je ze smakiem, myśląc, że przy pomocy twego cudownego lekarstwa możnaby odrazu wysadzić do nieba całą ziemię, co byłoby najlepszym figlem od czasu skuszenia Ewy. Całą ziemię, a więc wszelką cnotę, wszystkie Ekscellencye, wszystkie tomy literatury, wszystkie beczki margaryny, słowem, wszystko, co w człowieku psuje uczciwą, rzetelną małpę. Uwielbiam cię, profesorze, za tę myśl rozkoszną, z jaką, jedząc kasztany, wysadzałem się w powietrze. Patrzyłem w okna twoje, jak wierne psisko.

Profesor udobruchany patrzył na Wesołego Drażała, który, laską czynności swoje ilustrując, płynął dalej:

— Siedząc na ławce, widziałem obu ludzi, którzy odwiedzili ciebie: Błądą Twarz i ekscellencyę. Po włosach pierwszego, po nóżkach drugiego poznałem, że dałeś im odkośza. Obadwaj przyszli byli po twój cudowny eliksir, hę?! To wszystko wiesz, profesorze, lepiej, niż ja, ale co powiem teraz, tego nie wiesz.

— Pan jest bardzo przyjemnym człowiekiem—rzekł dobrotliwie profesor.

— Spodziewam się, zwłaszcza dla ludzi, których lubię. Otóż Ekscellencya, wyszedłszy od pana, postawił na węglach domu po jednym agencie policyjnym. Profesora już pilnują.

— Jakto! przecież przed aresztem dano mi dwadzieścia cztery godziny do namysłu?

— Ha! ha! więc i profesor pójdzie do kozy. Tośmy koledzy, cieszę się bardzo.

— A pan za co?

— Każdy człowiek, nawet z pospolitaków, ma chwile wściekizny duchowej, czyli natchnienia. I ja miewam! Narysowałem pewien afisz, podpisałem go: „Porządek społeczny” i przyklepiłem na magistracie Megalopola. Ugotowano mnie na rosół dla Sprawiedliwości. Jutro mają mnie wziąć.

— Czem pan im tak dopiekl?—zapytał profesor z radością.

— Były dwa wysokie, olbrzymie drzewa, u stóp głucha przepaść, bezdna, nad nią wierzchołki drzew, złączone powrozem—żywych małp. Stworzenia trzymały się wzajem ogonami, pazurami, zębami, szczepione, zażarte, gryzące, wściekłe. Sprawiedliwość zauważyła, że niektóre oblicza były całkiem wyidealizowane, to jest podobne do Ekscellencyi.

Brzuch profesora zaśmiał się ochoczo. Podał rękę Wesołemu Drażałowi. Uścisnęli się szczerze, jak dwaj podróżnicy, którzy, spotkawszy się wypadkiem na puszczy, przygotowują sobie konserwy z uczuć na dalszą samotną drogę.

Poszli na ulice Megalopola. Zdała za nimi krążyło dwóch ludzi, pilnowaczy Ekscellencyi. W braku jasnego słońca, mając poza sobą takie dwa cienie, mijali miasto: ojców, matki, synów, córki, główki kapusty, dziewice, arbuzy, kokotki, księży, psy, dorożki, parasolki, spódnice, cnotę, występki, mundury, płamy, latarnie, żebraków, kwiaty, wieprze, kamienice, brud, wspaniałość, trumny, dywany, wystawy, kolory, lśnienie i brzęk muzyki: skrzypce pisku ludzkiego, trąbki, wrzask, niepokój pragnienia nadmiernego, nienasytnego.

Mijali i samych siebie, nie pozostawiając w tyle nic, a pędząc przed sobą dusze własne, galopujące, jak wyćwiczone, a wolne konie.

W wielkim ogrodzie publicznym dopadli starej rosochatej lipy. Szum liści wieloletniego pnia, pieśń czarnych mchów, przytulonych do olbrzymiego ciała, napełniły ich dusze błogością, treścią słodką, a potężną, czuciem wieczności. Siedli na ławce kolistej, która opasywała drzewo obręczą.

Z tamtej strony lipy ktoś zaszczebotał...

— Aniołki śpiewają—rzekł, wstając, Wesoły Drażał. Wychylił się, aby spojrzeć.

— Profesorze, oto Opatrzność zsyła nam dwa piękne ciała, zróbmy analizę—rzekł. I zanucił w głos:

Panienki przy lipie,
Gąsior gąskę szczypie,
I my tak będziemy,
Gdy się przysuniemy.

Stanął przed panienkami, a one sfrunęły z ławki, jak przepióreczki, spłoszone przerażeniem. Były dwie: obie ze złocistymi włosami, jeno różne oczyma: ta patrzyła chabrami, owa zielonem jeziorem.

— Cip, cip!—Wesoły Drażał chwycił, zebrał obie, jak kurki. Wziął lekko pod pachę oba trzepoczące się zawiniątka i usadził na ławce.

— Kochamy was, proszę być grzecznymi. Siadaj, profesorze, na drugim brzegu.

Profesor trochę nie śmiał, ale usiadł. Zamknęli panienki niby kłamrą. Rozmawiali głosem, oczyma, rękoma. Dopytywali się panienek o imiona, a gdy nie chciały były powiedzieć, profesor nadał im najpiękniejsze.

— Panienka będzie Radyą, a panienka Seleną.

Poszli do budki na zimną wodę z sokiem malinowym. Czerwone korale spływały po białych ząbkach dziewcząt. Profesor patrzył rozkosznie i próbował wyciągnąć w usta i Radeę, i Selenę, ale trafiał zwykle w nos, one zaś chichotały.

Gdy dzień legł do snu, a noc wstała, Wesoły Draęał rzekł:

— Profesorze, przejdziemy się po księżycu.

Profesor w odpowiedzi ścisnął ramię Rady, dziewczęcia, które patrzyło chabrami.

Zapuscili się więc w ciemność, w dalekie ustronia parku, gdzie Żądza znajdowała przyrodę, wsłuchaną w szmery krwi. Obok rozkwieconych, omdlałych wonią krzów bzowych przechodzili, gdzie spały odurzone ptaki i motyle.

— Cicho! nie budźcie ptaków!

Księżyc patrzył na nich, oczyścił się z plam i stał się przezroczy, jak srebrny kryształ.

— Dobry wieczór!

Wesoły Draęał kapeluszem ukłonił się księżycowi. Profesora podrapały nieco gałązki, więc dzieciaczki ocierały go chusteczką. Wtem zastąpił im drogę człowiek publiczny w mundurze.

— Aresztuję—rzekł, zwracając się ku panienkom.

— Niby co? — zastawił je sobą Wesoły Draęał.

— Proszę mi pokazać świadectwo. Czy panienki mają pozwolenie na spacerowanie przy księżycu?

— Idź pan do dyabła!

Człowiek w mundurze gwizdnął. Wnet z czterech stron ciemności zbliżyło się mnóstwo cieni. Otoczyli ich.

— W imieniu prawa proszę o świadectwa—powtórzył tamten.

Wesoły Draęał, wyjąwszy z kieszeni kilka złotych krążków, podobnych do imperyała, rzekł, pobrękując nimi:

— Proszę się rozstąpić! Panienki są ze mną, a ja jestem ponad prawem. Oto znaki mojej specjalnej misji. Czy poznajecie to oblicze, wyrzeźbione na złocie?

— Jest to Ekscellencya, pan prezydent Megalopolitanii—rzekli radośnie.

— A więc nie róbcie głupstw i dajcie nam spokój.

Wtedy jeden z nich, który wyglądał na starszego, odezwał się:

— Musimy sprawdzić w biurze, czy krążki, które pan przedstawia, nie są fałszywe.

— Masz ku temu najwyraźniejsze prawo, generale, weźcie je i sprawdźcie—rzekł Wesoły Draęał i wręczył złote krążki człowiekowi, nazwanemu generałem. Ten zaś, schowawszy je do kieszeni, zwrócił się do profesora:

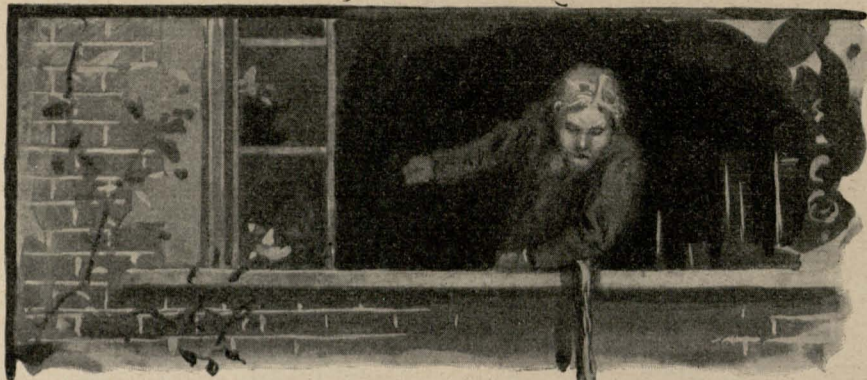
— Czy i ten pan również posiada specjalną misję?

— A jakże! — rzekł uradowany profesor i wraz dobył z kieszeni kilka krążków.

Generał wziął i te.

Znikli w mroku, kłaniając się pięknie obu parom, które pozostały same ze srebrnym księżycem. Zalęknione dziewczęta rzuciły się na szyję towarzyszom: Rady profesorowi, a Selenie — Wesołemu Draęałowi. Jakiś czas słychać było słodkie cmekanie, jak to młode, białe prosięta piją mleko.

Powrócili ku śpiącym ptakom, motylom i robaczkom, ku bzom wonnym, grotom z cie-



niutkich gałęzi. Profesor czuł się krzepki, jak Tytan, wstępował weń geniusz hazardu, śmiałość życia, który spał był pod salomoniakiem laboratorium.

— Dobrze mi! — krzyczała mu dusza.

— Bardzo mnie to cieszy — śmiał się Wesoły Draęał.

Lecz nadeszła chwila, gdy po raz ostatni ucałować mogli chabry i szmaragdy. Odprawdzili panienki do domu, a sami, pijani radością, która wszakże, jak wonność kwiatu, wędła po drodze, powrócili do laboratorium.

Pusto! Tam, jak zaduch grobu, uderzyło profesora wspomnienie. Jutro o tej porze mogą go zamknąć. Zamiast wielkiej pracowni, gdzie po królewsku rozkazuje gazom, będzie musiał dreptać po maleńkiej celi, a zamiast warg Rady usta jego znajdą wilgotny tynk z łączącym pajakiem.

— Postaramy się, aby nas pomieszczono razem — rzekł do towarzysza.

— Jakto? więc profesor ma zamiar siedzieć w więzieniu? — zapytał tamten.

— A pan?

— Ja? Ani myślę!

Profesor spojrział nań zdumiony.

— Cóż pan zrobi?

— Uciekam.

— Co?

— Tak.

— Dokąd pan ucieka?

— Do kraju, gdzie pieprz rośnie.

I profesorowi radzę uczynić to samo. Otrząsam proch butów swoich na Megalopol. Ja chcę żyć! Namyśl się, profesorze. Czego ci tutaj żal? Duszy, żaru słońca, ukojenia nocy? Tę weźmiesz z sobą. Myślisz? Ta pójdzie za tobą wiernym psem. Jedź ze mną, profesorku, opuść wszechnicość megalopolitańską. Służę ci pomocą.

— Dobrze — rzekł Hydrogen — jadę. Nie mam tu już nic do roboty. Chodźmy na dworzec kolejowy.

— To nie tak łatwo, jakby się wydawało — odpowiedział z uśmiechem tamten.

— Jakto?

— Spójrz, profesorze.

Wesoły Draęał otworzył okno. Wyjrzeni razem z wysokości drugiego piętra na pograżony w ciemnym śnie Megalopol.

Latarnie elektryczne blaskiem martwym paliły się, pilnując miasta, niby wielkiej trumny. Na dole, przy wrotach stali dwaj ludzie nieruchomi, kamienni, karawaniarze przy zwłokach.

— Widzisz, profesorze, tych ludzi-stróżów? Ci mają rozkaz nie-

wypuszczenia nas żywych z miasta. Nie zdolamy ująć głownemi wrotami.

— Doprawdy, są to rzeczy, które dopiero dzisiaj widzę. Cóż zrobimy?

— Wyprowadzimy ich w pole! — zaśmiał się Wesoły

Draęał.

Zaczem wziął iluzję od okien, kotarowe zasłony, skręcił je w jeden poróż i przymocował.

Spuścili się na dół, z tyłu domu, w ogrody, gdzie ich nikt nie dostrzegł. Wkrótce pędzili pociągiem.

Gdy minęli granicę Megalopolitanii, wystali po drutach wieść do Ekscellencyi:

„Wyprowadzamy się z Megalopolu; życzymy Ekscellencyi dobrego trawienia”.

Podpisano: profesor Hydrogen (adres: „Nauka”), Wesoły Draęał (adres: „Sztuka”).

Sami zaś pędzili jak najspieszniej przez Megistopolitanię, obawiając się, aby mocą uchwały ligi pokoju, która zobowiązała wszystkie państwa do tępienia występku, nie zatrzymano ich.

Obeszło się wszakże bez wypadku, i wkrótce okręt przeniósł ich na wyspy Pieprzowe.

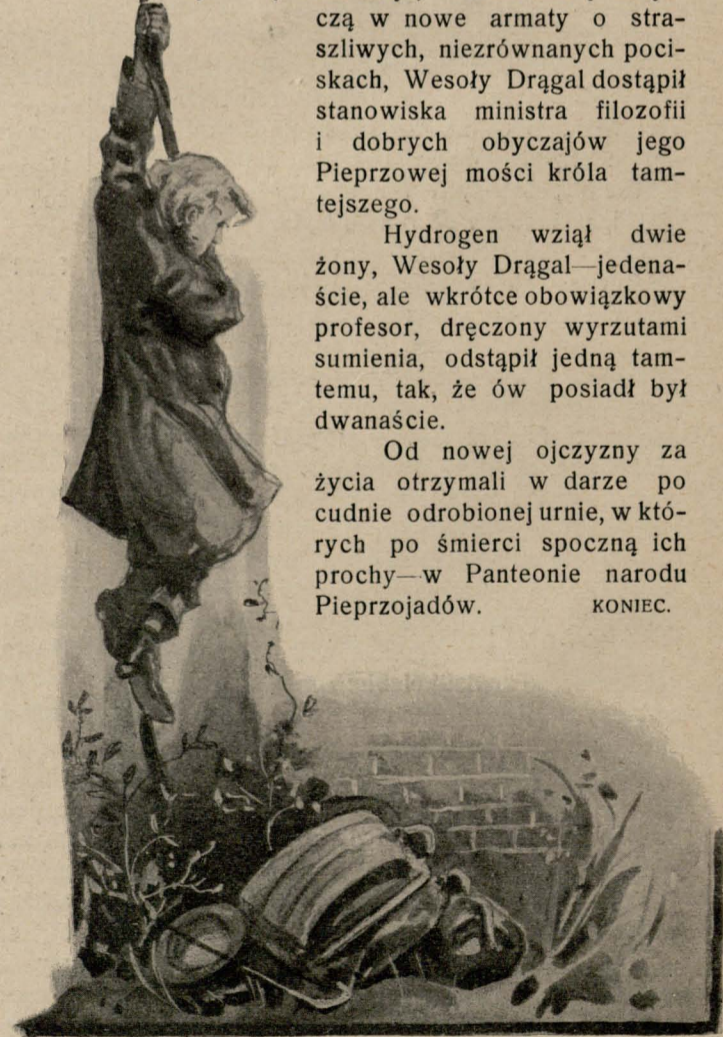
Tam w krótkim czasie poznano się na nich.

Profesor Hydrogen, zostawszy głównym fizykiem kraju, uzbroił armię tubylczą w nowe armaty o straszliwych, niezrównanych pociskach, Wesoły Draęał dostąpił stanowiska ministra filozofii i dobrych obyczajów jego Pieprzowej mości króla tamtejszego.

Hydrogen wziął dwie żony, Wesoły Draęał — jedenaście, ale wkrótce obowiązkowy profesor, dręczony wyrzutami sumienia, odstąpił jedną tamtemu, tak, że ów posiadał był dwanaście.

Od nowej ojczyzny za życia otrzymali w darze po cudnie odrobionej urnie, w których po śmierci spoczną ich prochy — w Panteonie narodu Pieprzoadów.

KONIEC.



MODA I TEATR.

Scena krakowska, podczas przedstawień sztuk salonowych, zwraca uwagę znawców na stroje, w jakich ukazują się publiczności pierwszorzędne nasze artystki. Sensacya udziela się nie tylko sferom kobiecym. Wytworne i zastosowane do najbujniejszych wymagań ostatniej mody toalety publiczności naszej, przyzwyczajonej do bezwzględnej uległości dla wszystkiego, co pochodzi z zagranicy, nasuwają przypuszczenia, iż „musi to pochodzić z Paryża!” To samo prawdopodobnie powtarzano sobie na widok wspaniałych strojów pani Solskiej w „Lady Frederick”, odznaczających się ostatnim krojem, długich i obcisłych. Zachwycano się powszechnie białą-jedwabną suknią wizytową z tuniką z gazy, u dołu ozdobioną szeroką bortą z aplikacyi. Nie wiedziała jednakże, iż śliczności, o których mowa, pochodzą z pracowni krakowskiej artystycznej, która od szeregu lat odznaczana jest za podobne roboty najwyższemi odznaczeniami: krakowska firma *Henryk Szwarz* (w ul. Grodzkiej) nawet na paryskiej wystawie kostymów i sukien damskich uzyskała złoty medal. oraz honorowy dyplom, nie mówiąc już o wystawach krajowych.

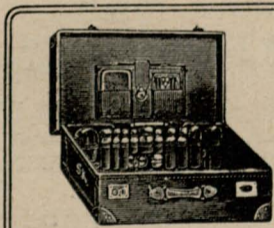
Odnaczenie to było tem znamiennejsze, że Francuzi nagradzają niechętnie obce firmy, wiedząc, że wyrwają one w ten sposób Paryżowi monopol mody. Tak też i w tym wypadku ze strojami z „Lady Frederick”: dowiadujemy się o ich kra-

kowskiem pochodzeniu z następującego publicznego podziękowania: „Zapytywano mnie ze wszech stron o pochodzenie moich toalet do „Lady Frederick”, mniemając, iż sprowadzone są z Paryża. Otóż oświadczam, iż toalety te zostały wykonane w znanym krakowskim magazynie, p. Henryka Szwarza, za które składam mu podziękowanie. IRENA SOLSKA.

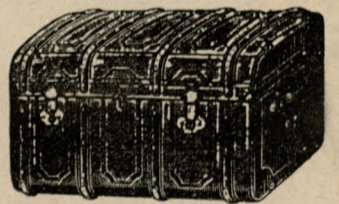


NADESŁANE.

MEBLE
ZAŁĘSKI i S-ka
Warszawa, Erywańska Nr 2,
parter, 1 i 2 piętro. Telefon 16-39. Rok założ. 1870.



STANISŁAW KRAUSE i S^{KA}
FABRYKA I MAGAZYN
WSZELKICH PRZYBORÓW DO PODRÓŻY
Warszawa, Królewska № 1 (róg Krakowsk.-Przedm.)
JEDYNA W KRAJU FABRYKA KUFRÓW TRZCINOWYCH.



KALODONT
Niezbędny krem do zębów
Utrzymuje zęby białe, czyste i zdrowo.
Ządać wszędzie

LES PARFUMS



PARIS.

G. G. LARDELLI **CUKIERNIE**
Fabryka Czekolady
Bohuena 5 Nowy-Swiat 27, Marszałkowska 68.

MAGAZYN KRAWIECKI
SZWAŁBE SACH i S^{KA}
ANGIELSKIE PALTA i GARNITURY
GOTOWE i NA OBSTALUNEK
SENATORSKA 8. TELEFON 6717.

GABINET ŚWIATŁOLECZNICZY
D-ra ROBERTA BERNHARDTA
ordynatora szpitala św. Łazarza.
WARSZAWA, FOKSAL 15. TELEFON 14.54.
Leczenie chorób skóry i włosów promieniami Rentgena, Finsen-Kromayer'a, Radium i elektrolizą, Arsonizalicya. Choroby weneryczne.



Magazyn Sukien i Okryć Damskich
Władysławy Kwiatkowskiej
Przeniesiony z Chmielnej 9
na Plac św. Aleksandra 14 (Telefon 7383)
Poleca gotowe: Suknie wizytowe, Kostiumy angielskie, Bluzki od skromnych do najstrojniejszych, Spódnice do bluzek, Paski, Żaboty. Zamówienia przyjmują się z własnych i powierzonych materiałów.

GEBETHNER i WOLFF
PIANINA i FORTEPIANY
W WARSZAWIE
KRAK.-PRZEDM. 17



J. WAPIŃSKI MAGAZYN JUBILERSKI Krakowskie-Przedmieście Nr 19 dom własny

S. GLIŃSKI 41 Nowy-Świat 41

Poleca:

Pastę „BON TON,” Szuwaks, Smarowidło i Glazurę do obuwi, Pomadki, Proszki i Płyn „FENOMEN” do czyszczenia metali, Atramenty, Tusze, Gumę arabską, Oliwę do maszyn i t. p.

Największa w kraju **FABRYKA POWOZÓW J. GOLIŃSKI** egzystuje od 1867 r. w Warszawie LESZNO 36.

ODPOWIEDZI

I RADY POUFNE DLA PAŃ.

Blondynce. Te podskórne krosteczki na twarzy prawie natychmiastowo usunie mała aparatura, zwana *Masażystką pneumatyczną*. Węgry na nosie i brodzie wygubi radykalnie *Pureol*.

Sulimie. Najnowsza postępową kosmetyka zabrania myć twarz mydłem. *Otrąbki Abaridowe* i oczyszczą naskórek, i nie dozwolą na tworzenie się różnych wyrzutów, szpecących cerę.

Ewie. Liszaje, krostki, plamy, tworzą się na twarzy w skutek złego krążenia krwi. Naczynka krwionośne, te cienkie rurki, są pozapychane kurzem i brudem, pudrem i t. p. od zewnątrz, lub też warstewkami tłuszczu od wewnątrz. Krew, zatamowana temi przeszkodami, nie dopływa wszędzie, i w tych miejscach właśnie tworzą się owe szpetne niedokładności. Zapobiega temu sposobem zupełnie naturalnym *Masażystka Pneumatyczna*, która, ssąc delikatnie naskórek, zmusza krew do regularnego dopływu do tych części twarzy, dokąd nie dopływała. Kuracyi dopełnia *Abarid*, wycisk galaretowaty z cebul białej lili. Nikłe formy biustu również bardzo skutecznie doprowadza do normy tenże sam przyrząd *pneumatyczny*, lecz w zwiększonej formie. Wypadanie włosów wstrzymuje prawie od pierwszego użycia *Tetral Tissota*.

N. N. w Łodzi. Lilie, nalane spirytusem, których pani używa, nie mogą zniszczyć zmarszczek. *Abarid* nie jest nalewką na kwiat lili, lecz galaretę, wyciśniętą z cebulek białej lili (*Lilium candidum*) w połączeniu z miodem; jest to środek odżywczy, zwiędłą skórę doprowadza do życia i wygładza fałdy skóry.

Alicyi K. Odpowiedź dla siebie znajdzie pani, czytając poprzednie odpowiedzi.

Zmartwionej. Odmrożone ręce, nogi, nos, uszy doprowadza do porządku *Gelurine*, płyn i krem. Konieczne jest jedno z drugim, gdyż po użyciu płynu ręce tak robią się szorstkie, że dopiero po użyciu kremu dochodzą do pierwotnego stanu. Niezbędne przytem rękawiczki kosmetyczne nie nasycane.

Do wszystkich. Dla wygody czytelniczek *Tygodnika*, żeby nie szukać po całym mieście, wszystkie środki, zalecane tutaj, obowiązały się mieć zawsze na składzie Perfumerye: *Paszowskiego*, *Marszałkowska 109*, i „*Perfection*”, *Szpitalna 10*.

Pani Balbinie. Podbródek za bardzo wydatny usunie *Mydło Gossa*, *Masaż Pneumatyczny* i przepaska, zwana *Reducteur*. Na piękne białe ręce *Pâte des Prélats* i rękawiczki kosmetyczne.

Pani S. w P. Artystka, która zwróciła uwagę pani swoją figurą na owem przedstawieniu w *Rozmaitościach*, stale używa gorsetów z firmy brukselskiej *P. Dutoit i Sp.*, skład w domu dochodowym teatrów, ul. *Wierzbowa*. Marka tych nieporównanych gorsetów *P. D.*

Mme Ercédès.

ODPOWIEDZI.

Laboratorium Klimeckiego, Niecała 5.

Stroskanej. Prosimy uspokoić się i zaraz porzucić wszystkie pomady, araki, chmiele i t. p. One tylko szkodę przynoszą. Naukowo stwierdzono, że tylko *Radium* wpływa dodatnio na porost włosów.

Pani Helenie. Firma francuska *L. Colse* przy udziale lekarzy specjalistów spreparowała płyn radyocyny pod nazwą *Radiol*. Preparat ten szybko przywraca energię życia cebulkom włosowym. Tem się tłumaczy, iż włosy rosną szybko i pięknie.

P. W. S. Plamy na twarzy i małe piegi znikną po użyciu dwóch stoików kremu *Dra Orgley*. Na wszelkie zapytania odpowiadamy listownie.

PASTILLES
DE

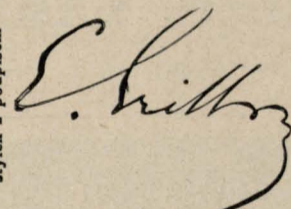
TAMAR
INDIEN
GRILLON

PARIS, 33, RUE DES ARCHIVES.

We wszystkich składach aptecznych i aptekach.

Owoc przeczyszczający
PRZECIW
OBSTRUKCYI

Sprzedaje się w pudełkach po 12-ście pastylek i pół-pudełkach po 6 pastylek z podpisem



Lekarz dentysta **STEFAN ŻYCZKOWSKI** NOWOGRODZKA № 26
Telefonu 167.49.

MAGAZYN I FABRYKA JUBILERSKA **ALEKSANDER ORACZEWSKI** WARSZAWA, TELEFON 186-11 ULICA NOWY-ŚWIAT Nr 29

Wielki wybór biżuterii brylantowej. Ceny fabryczne.

Bracia ŁOPIENSCY POLECAJĄ BRONZY SALONOWE I KOŚCIELNE MAGAZYN KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE Nr 15 Tel. 21.90

Redaktor: Dr JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER i WOLFF

Druk Piotra Laskauera i S-ki w Warszawie.



A. JASKULSKI

WARSZAWA, WIERZBOWA Nr. 1.

SKŁAD FABR. WYROBÓW PLATEROWANYCH

Tow. Akc. R. Plewkiewicz i S-ka

Wielki wybór najnowszych sztucy i nakryć stołowych platerowanych. Nowości ze srebra, brązu, cennego marmuru, niklu i t. p. Przedmioty galanterijne. Naczynia kuchenne Berndorfskie z czystego niklu po cenach fabrycznych.

Farbiarnia Parowa, Pralnia Chemiczna i Dezynfekcja
Ch. GEBER w Grochowie

Magazyny w Warszawie: Niecała Nr 9; Nowy-Świat Nr 49; Sienna Nr 2a; Leszno Nr 4; Długa Nr 19; Chłodna Nr 18; Dzika Nr 7; Praga Brukowa Nr 32. Filie: Łódź, Zielona Nr 5; Częstochowa, II Aleja Nr. 34

Składy Sukna i Kortów **LEONA MESSINGA**

w Warszawie, Miodowa 7, Marszałkowska 140,

polecają modne materyały krajowe i angielskie w wybor. gatunkach. Najdogodniejsze źródło zakupu.

BOROL

na porę zimową uznano za najlepszy ze środków, chroniących skórę rąk i twarzy od opierzchania.



L. MARCHOWIECKI Krak.-Przedmieście 23 (vis à vis pom. Mickiewicza)

Poleca: Skórzaną galanterię, przybory podróżne, ozdobne albumy, obuwie letnie, pudła fornerowe, etc. Wyrób własny, ceny niskie.

**LUDWIK SZUFA
KRAWIEC**

KRAKOW TELEFON 671

Wydawnictwa rok III.

Miesięcznik „**SFINKS**”,

wydawany i redagowany przez
Wł. Bukowińskiego,
od stycznia powiększa format i podnosi
stronę artystyczną.

W zeszycie styczniowym między in. zaczyna:
powieść **Sieroszewskiego** „Jak liść jesienny”, dramat **Savitri** „*Brunhilda*”, studium polemicko-krytyczne **Matuszewskiego** „*J. Weysenhoff* i laury *Wyspiańskiego*”, szkic historycz. **Łunińskiego** o synu *Napoleona ks. Reichstadtu*.
Prenumerata roczna w Warszawie rub. 8, pocztą rub. 9; na wytornym papierze żebarkowym rub. 10, pocztą rub. 12.
Prosimy o wczesne zamawianie.
Adres Redakcyi: *HORTENSJA 4*, tel. 110.99.



Wyprzedajemy z dawnych zapasów

5,000 gąsiork. wina węg.

wytrawnego, średniego lub słodkiego po wyjątkowej cenie rub. 1 kop. 20.
Dostawa 15 gąsiorków franko.

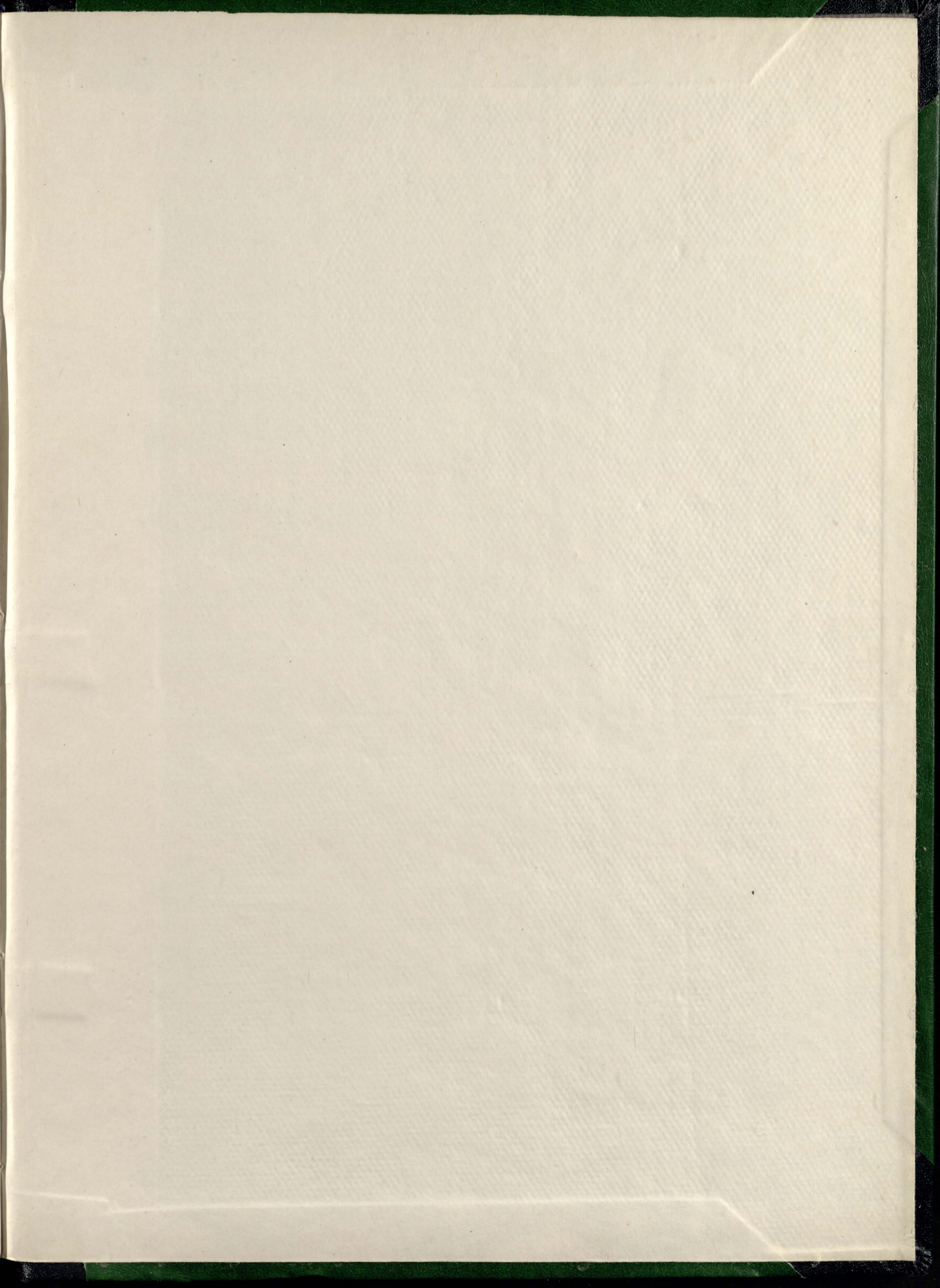
Skład Win i Koniaku

Braci KEMPNERÓW

Długa Nr 5. Telfonu Nr 772.

K SIEGARNIA **FR. RACZKOWSKIEGO**
LUBLIN, KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE 36,
pieszła na własność
GEBETHNERA i WOLFFA.

PATENTY
NA
WYNAŁAZKI
„**Włodarkiewicz**
i **Sieklucki**”
Włodzimierska 16,
Egz. od 1886 r
Wł. inż. **W. Jakubowski.**



LIETUVOS MOKSLŲ
AKADEMIJOS BIBLIOTEKA



002 00250795 2

Lietuvos TSR Mokslų Akademijos
CENTRINĖ BIBLIOTEKA

P.3130/1909